

Mysł Polska

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU
POLISH THOUGHT—MONTHLY REVIEW

Nr 101 (Rok VI, Nr 6)

Sierpień, 1946

Cena (Price) 2/-

W WALCE ZE ZŁEM

KIEDY w dniu 3 października 1944 r., po dziewięciu tygodniach bohaterskiego oporu Powstańców, Niemcy objęli znów w posiadanie całość obszaru, na którym przed wojną stała Warszawa, nie poprzestali na wypędzeniu z miasta kilkuset tysięcy pozostałych jeszcze mieszkańców. Uczynili więcej: w ciągu paru następnych miesięcy specjalne oddziały demolujące wysadzały kolejno w powietrze ocalałe od zagłady budynki, niszcząc ze szczególną pasją zabytki i pomniki historyczne. Rozsypała się wtedy w proch do reszty Katedra św. Jana z grobami Księżąt Mazowieckich, Pałac Saski z kolumnadą chroniącą Grób Nieznanego Żołnierza, gmach Ministerstwa Spraw Zagranicznych — i wreszcie mury starego Zamku Królewskiego nad Wisłą. Mury te — po całkowitym ogołoceniu ich wnętrza przez Niemców — miały być wysadzone w powietrze już na wiosnę 1940 r.; założono pod nie ładunki dynamitowe, a gubernator Frank nie krył wcale, że z "wyższego rozkazu" Zamek, jako symbol Państwa Polskiego, zniknąć musi z powierzchni ziemi. Z niewiadomych względów wykonanie rozkazu odwlekło się na lat blisko pięć, niemniej symboliczny charakter tego aktu nie stracił swej wyrazistości.

Polityka niemiecka — raz postanowiwszy najazd na Polskę — postawiła sobie za cel zniszczenie narodu polskiego jako odrębnej indywidualności historycznej i kulturalnej. Szła do tego przede wszystkim przez tępienie warstw kierowniczych Polski od "góry", od czołowych przywódców politycznych i społecznych, pisarzy i uczonych poczynając, a kończąc na proboszczach wiejskich i gospodarzach, cieszących się autorytetem w swych gromadach. We wszystkich poczynaniach władz okupacyjnych przebiegała dążność do likwidowania żywiołów moralnie wartościowych, obdarzonych silnym poczuciem odpowiedzialności społecznej i narodowej. Społeczeństwo polskie miało się stać bezkształtną masą bez jakichkolwiek aspiracji kulturalnych, której jedynym przeznaczeniem byłoby dostarczanie niewolniczej siły roboczej dla Wielkiej Rzeszy.

Trudno dziś powiedzieć, czy udałoby się Niemcom doprowadzić zadanie to do końca, gdyby wojna potrwała dłużej, lub gdyby ją wygrali — w każdym razie straty, jakie w tym właśnie zakresie poniósł naród polski, są nieprawdopodobnie duże. Straty te wyrażają się nie tylko w śmierci tylu a tylu pracowników w różnych dziedzinach życia narodowego, nie tylko w zahamowaniu kształcenia narastających pokoleń, ale także w zrozumiałym wyczerpaniu fizycznym i umysłowym znacznej części żywiołów, reprezentujących twórczość i postawę moralną narodu.

Zdawałoby się, że powalenie Niemiec stanie się początkiem wyteżonej, gorączkowej pracy, zmierzającej do stopniowego odrobienia tych szkód. Stało się inaczej. Istnieje formalnie Państwo Polskie, czynne są polskie szkoły i uniwersytety, dokonywany jest przez ludzi dobrej woli wysiłek, zmierzający do ratowania ocalałych z pożogi pomników kultury polskiej. Jednak narzucona Polsce dyktatura komunistyczna sprawiła, że proces niszczenia najwarteściowszych żywiołów społeczeństwa trwa w zmienionych warunkach nadal — i że całość warunków, panujących dziś w kraju, zabójczo paraliżuje nie tylko jego odbudowę gospodarczą, ale i odrodzenie normalnych tkanek życia społecznego.

Następstwem każdej dyktatury, sprawowanej wbrew woli i głębokim instynktom społeczeństwa, jest selekcja *in peius*, polegająca na tym, że we wszystkich dziedzinach życia zbiorowego z łaski rządzących na górę wydobywają się elementy późniejszego autoramentu: oportuniści, karierowicze, tchórze, jednostki wykołejone, w wielkiej zaś mierze i zwykle kanalie. Objawy te występują w dzisiejszej Polsce w formie jeszcze ostrzejszej niż gdzie indziej. Sam fakt, że najprzystwoitsze, najbardziej wartościowe jednostki z natury rzeczy stoją na stanowisku pełnej niepodległości kraju, reprezentując jego prawdziwe oblicze i aspiracje, sprawia, że narażają się reżimowi. Doszliśmy do tego potwornego paradoksu, że tych właśnie ludzi propaganda warszawska dzień w dzień zożydza nazywając ich "reakcjonistami", "faszystami", "bandy-

tami" i "zdrajcami", równocześnie zaś tępi ich wszelkimi środkami, na jakie tylko zdobyć się może dyktatura, pozbawiona jakichkolwiek skrupułów moralnych czy prawnych. W parze z tym idzie obsadzanie stanowisk państwowych, samorządowych i gospodarczych lichymi, nieuczciwymi kreaturami. Rośnie fala złodziejstw i nadużyć wszelkiego typu; relacje z kraju mówią przerażające rzeczy o atmosferze, panującej zwłaszcza w kierowanych przez państwo instytucjach gospodarczych, w których żaden uczciwy człowiek nie może długo wytrzymać.

Całe życie publiczne ulega głębokiej korupcji. Prasa reżimowa nie ustaje w wykaniu rzeczywistych lub urojonych nieprawości przedwojennego systemu sanacyjnego, rzeczywistość jednak dzisiejszej Polski — pomijając nawet zależność od obcych — jest stokrotnie gorsza. Sposób, w jaki spreparowano wyniki tzw. referendum z dnia 30 czerwca rb., prześcignął najgorsze wzory "cudów nad urną", dokonywanych ongiś w najbardziej zacofanych krajach bałkańskich, a wypadków kieleckich z dnia 4 lipca nie powstydzilby się sam Azeff, szef prowokatorów carskiej "ochrany", ani zakulisowi organizatorzy pogromu w Kiszyniewie.

Wobec tej demoralizacji, organizowanej i narzucanej przez władze, szerokie rzesze społeczeństwa zachowują zdumiewającą odporność — niemniej jednak spustoszenia przez nią dokonywane muszą być z natury rzeczy bardzo poważne, zwłaszcza w zakresie kultury życia zbiorowego. Jeśli nie mamy w tej dziedzinie cofnąć się do stanu prymitywnego barbarzyństwa, konieczne jest większe jeszcze niż dotąd zwarcie się wszystkich uczciwych i świadomych niebezpieczeństwa żywiołów w kraju i na emigracji. Konieczne jest wystrzeżenie się prowokacji wszelkiego typu i pochodzenia, oszczędzanie sił i dawanie posłuchu tylko odpowiedzialnym polskim ośrodkom politycznym. Konieczny jest wreszcie — znowuż więcej niż kiedykolwiek — wysoki poziom moralny w życiu zbiorowym i prywatnym i wytworzenie w tym względzie surowej, a nawet bezwzględnej opinii publicznej.

A. TOMICKI

KWESTIA NIEMIECKA

KWESTIA staje się każdy naród, gdy nie ma państwa albo nawet, gdy istnieje jako państwo, ale państwo to nie jest w pełni niepodległym i niezależnym, to znaczy nie może wypełnić tych zadań, które każdy naród w własnym państwie widzi i które mu powierza. Wtedy bez względu na to, czy to się komu podoba, czy nie podoba, powstaje kwestia, i to tym ostrzejsza, im bardziej wymaga ona rozwiązania i im bardziej inne narody takim stanem rzeczy są zakłopotane.

Jest to pewnego rodzaju nemesis dziejowa, że dzisiaj istnieje na horyzoncie nie tylko znowu kwestia polska, wywołana tym, że naród polski nie chce się pogodzić z rozwiązaniem, które mu narzucono, ale że po raz pierwszy w tej formie w dziejach zjawiała się na horyzoncie "kwestia niemiecka". Czytając to wyrażenie w prasie wszystkich krajów świata, można dopiero ocenić, jak straszliwy jest upadek Niemiec. Komuż jeszcze przed dziesięć laty przychodziło na myśl, że wogóle może istnieć "kwestia niemiecka"? Przecież nie istniała ona nawet w roku 1918 po pierwszej przegranej przez Niemcy wojnie. Nikt o takiej kwestii nie mówił i nie pisał. Były po prostu Niemcy, co prawda pobite, ale Niemcy, które miały swoje państwo, swój własny czysto niemiecki rząd, przez nikogo nie narzucony, swoich przedstawicieli i swoją wolę, którą mogły wyrażać. Dzisiaj zamiast Niemiec istnieje kwestia niemiecka. W tym zdaniu mieści się istota wszystkiego, co Niemców spotkało. Na domiar kwestia niemiecka jest w zasadzie bardziej skomplikowana, niż była nią kiedykolwiek kwestia polska.

Uderzenia, które spotkały swego czasu Polskę i pozabawiły ją państwa w XVIII wieku, uderzenie, które ją znowu dzisiaj spotkało, nigdy nie naruszyły rdzenia narodu polskiego. Ten naród zawsze wiedział, czego chce, jego organiczna budowa miała niewątpliwie swoje błędy ale istniała jako całość zwarta na zewnątrz. Wola jego była nienaruszona i prosta. Naród polski sam się w swojej świadomości ani na chwilę nie zagubił. Nie zagubił się zaś dla tego, że widząc swoje błędy, jednak ani na chwilę nie wątpił o swojej słuszności i nie miał powodu o niej wątpić. Słuszności tej nie kwestionowały też inne narody. Dlatego odrodzeniu się państwa polskiego nigdy nie stała na przeszkodzie obawa innych narodów przed polskim niebezpieczeństwem, które mogłoby zagrozić światu w razie powstania państwa polskiego. Na przeszkodzie stała jedynie przemoc państw zaborczych. Z chwilą gdy ona runęła, państwo polskie powstało prawie że automatycznie, podobnie jak i dzisiaj pełna niepodległość państwa polskiego byłaby natchnieniem faktem dokonany, gdyby przemoc Rosji bolszewickiej przestała nad nim ciążyć. Nie byłoby żadnej dalszej "kwestii" na ten temat.

Inaczej ma się rzecz z Niemcami. Kwestia niemiecka nie powstała z powodu zamachu na Niemcy obcej przemoc. Żadne z państw Niemcy otaczających i żadne z państw, które wzięły udział w wojnie, nie miały najmniejszego nigdy zamiaru zniszczyć istniejącego państwa niemieckiego bez względu na to, jaki był wewnętrzny ustrój Niemiec, i tym samym stwarzać "kwestii niemieckiej". Nie było tego zamiaru nawet wobec Niemiec hitlerowskich, którym przecież pozwalano na

rozwój i zgola nie mieszano się do ich spraw wewnętrznych. Nikt więc nie zawinił i nie spowodował powstania kwestii niemieckiej, bo nikt do tego nie dążył. Powstanie jej wywołały Niemcy same, zmuszając świat swoją napaścią do wojny z nimi i przegrywając tę wojnę tak gruntownie, jak nigdy w całej swojej historii. Jeżeli więc dzisiaj istnieje kwestia niemiecka, to nie dlatego, żeby państwa ościenne chciały zniszczyć państwo niemieckie, odebrać mu niepodległość i wymazać je z historii, ale najzupełniej wbrew ich woli, po prostu dlatego, że zasadniczo pragnąc żeby istniało i życząc wszystkiego dobrego narodowi niemieckiemu, boją się go, i nie wiedzą, jak zapobiec niebezpieczeństwu, którym państwo niemieckie może ponownie zagrozić światu.

Jest więc zasadnicza różnica między kwestią polską a kwestią niemiecką. W sprawie Polski mocarstwa ościenne siłą usunęły państwo polskie z widowni politycznej, chociaż nikt na całym świecie nie obawiał się niebezpieczeństwa, które mogłoby powstać z powodu jego istnienia. W sprawie Niemiec wszystkie państwa, i to nawet ościenne, chciały i chcą żeby państwo niemieckie istniało, ale ogromnie się obawiają, co będzie, gdy znowu powstanie i czy nie zagrozi ponownie Europie i cywilizacji.

O ile więc przeszkody w sprawie odbudowania Polski były przeszkodami zewnętrznymi i nie wynikały ani na chwilę z istoty i charakteru samejże Polski, o tyle przeszkody w odbudowaniu Niemiec nie są przeszkodami zewnętrznymi, ale właśnie wynikają z istoty samejże Niemiec. Podkreślamy umyślnie tak szczegółowo te różnice, bo na tle tej różnicy dopiero można w pełni zrozumieć charakter istniejącej dzisiaj po raz pierwszy w historii kwestii niemieckiej. Jest ona łatwiejsza do rozwiązania niż kwestia polska, bo nie przeciwstawiają jej się takie siły zewnętrzne, które by chciały wogóle wymazać Niemcy z karty Europy. Jest zaś o tyle trudniejsza, że istnieją przeszkody natury wewnętrznej wynikające z charakteru narodu niemieckiego, co do których można mieć wątpliwości czy kiedykolwiek istnieć przestaną. Przy rozwiązaniu kwestii polskiej chodziło i chodzi o to, żeby Polskę zabezpieczyć względnie dać jej takie warunki, żeby sama się mogła zabezpieczyć. Przy rozwiązaniu kwestii niemieckiej zaś chodzi o to, żeby wszystkich innych zabezpieczyć przed Niemcami.

Mierząc historię nie latami ani nawet dziesiątkami, ale setkami lat, możemy powiedzieć, że kwestia polska mogła istnieć 150 lat, mogła nawet powstać raz jeszcze, jak dzisiaj, ale że zniknie ona, gdy tylko usunie się przeszkoda zewnętrzna — obecnie tylko jedna — która kępuje wolność państwa polskiego. Natomiast, zważywszy trwałość rysów charakteru w poszczególnych narodach, nie jest rzeczą pewną, czy wogóle i kiedykolwiek uda się trwale tak rozwiązać kwestię niemiecką, ażeby rozwiązanie to nie budziło wątpliwości na przyszłość.

* * *

Do rozpoznania właściwego charakteru sprawy niemieckiej świat, a przede wszystkim świat anglosaski, potrzebował bardzo dużo czasu. Nie wystarczyły zgola doświadczenia XVIII wieku i polityka wojenna Fryderyka

Wielkiego, nie wystarczył wiek XIX i wojny z okresu Bismarka, trzykrotnie wtedy przez niego wszczynane (w latach 1864, 1866 i 1870), nie wystarczyła nawet wojna lat 1914-1918. Po tej wojnie z mocarstw zachodnich jedynie Francja usiłowała przez jakiś czas wyciągnąć należyte wnioski, udaremniłone jednak niebawem przez krótkowzroczność polityki angielskiej. Anglosasi, a później, nie widząc innego wyjścia również Francja z Briandem na czele, oparły całą swoją politykę na wierze w republikę wejmarską i w demokratyczne i pokojowe Niemcy. Mocarstwa te nie brały w ogóle pod uwagę ostrzeżeń Polski, której doświadczenia z Niemcami sięgały bardzo odległych czasów, która patrzyła na wytopienie Słowian nadłabskich, na rzekę Gdańska, na wyniszczenie ludności Prus Wschodnich, i która miała w pamięci rozbiory. Dopiero straszliwa katastrofa wojny światowej i niesłychane okrucieństwa niemieckie stosowane tym razem nie tylko na wschodzie, ale i na zachodzie, wprowadziły do polityki anglosaskiej pierwiastek dla tej polityki nowy: liczenie się z charakterem narodu niemieckiego i płynący stąd wniosek, że można pozwolić na odbudowanie tylko takich Niemiec, które nie byłyby w stanie ponownie zagrozić światu.

Wyłoniło się wobec tego pytanie, jak to zrobić i jakie Niemcy nie będą dla świata groźne? W tym tkwi dzisiaj istota kwestii niemieckiej. Postawienie w ten sposób sprawy zawiera już w sobie początek rozpoznania, że istnieją w charakterze narodów cechy trwałe, które się odradzają. To rozpoznanie nie jest jeszcze u Anglosasów ostateczne. Jeszcze ciągle się mówi o "reedukacji" Niemiec, o zmianie ich ducha, ale już z dużym sceptycyzmem i przede wszystkim uznając, że nie jest to ani rzeczą łatwą ani też nie dokona się szybko. W każdym więc razie przewiduje się długi okres czasu, w którym trzeba utrzymać obiektywne warunki takie, ażeby w ogóle można tę "reedukację" przeprowadzać. Jest to duży postęp.

W rzeczy samej bowiem ani najgłębsza istota charakteru człowieka jako indywidualum, ani charakteru narodów się nie zmienia, chyba, że w procesie zmian ludnościowym powoli przez wieki po prostu inny naród zajmuje miejsce dawnego, jak na przykład Włosi miejsce Rzymian. Narody słabną albo się wzmacniają, cofają się albo rosną, ale zostają zawsze to same i tylko w miarę tych zmian wysuwają się na czoło rozmaite cechy ich charakteru. Stąd powierzchniowy obserwator może przypuszczać, że zmienia się charakter. Kto jednak dokładnie przyjrzy się dziejom, zauważy, że w pewnych warunkach zawsze te same cechy się odradzają względnie znowu wypływają na wierzch i że nigdy nie można powiedzieć z całą pewnością, że zniknęły one na zawsze, zwłaszcza gdy pozostawiły one trwałe ślady również w historii i literaturze danego narodu, co ogromnie ułatwia nawroty.

Stąd "reedukacja" Niemiec może tylko o tyle rokować pewne widoki, o ile warunki ich bytu będą takie, że nie będą sprzyjały albo nawet będą udaremniały objawienie się napastniczych i rozbójniczych cech charakteru niemieckiego, których opis znajdujemy już u Tacyta. Ten charakter rozbójniczy i wojenny zgola nie został narzucony Niemcom przez Prusy jak tego chcą prawie wszyscy pisarze

i publicyści zachodni i co powtarzają za nimi błędnie nawet niektórzy publicyści polscy. W ich mniemaniu wszystkiemu winne są Prusy, które przekształciły łagodnych rzekomo z natury Niemców na rozbójników i drapieżców. Tu i ówdzie pojawiły się nawet niezwykle twierdzenia, że w Prusach właśnie przymieszka krwi słowiańskiej wypaczyła charakter niemiecki i wprowadziła do niego krwiożerność i napastliwość, którą potem Prusy zaraziły całe Niemcy.

Jest to zdumiewające odwracanie przebiegu dziejów. Nie Prusy stworzyły Niemcy, ale właśnie Niemcy stworzyły Prusy i to tworzyły je systematycznie, logicznie i wytrwale przez tysiąc lat, karmiąc je swoimi czysto germańskimi sokami i nawet — jak powiada historyk niemiecki Treitschke w swojej pracy *Das deutsche Ordensland Preussen* — wyraźnie i świadomie unikając mieszaniny z ludnością tubylczą, której nie wchłaniali ale którą tępilli, co później podjął jako hasło Hitler głosząc konieczność germanizowania ziemi, a nie ludzi. Wysiew ośrodków niemieckich, z których zlania się powstało później Królestwo Pruskie, nie był poza tym jednorazowy i o sobniony ale stały i liczny. Samo Królestwo Pruskie powstało z dwóch głównych i niezależnie od siebie rozwijających się ośrodków, takich jak Brandenburgia i ziemie Zakonu Krzyżackiego, pokrewnych tylko jeżeli chodzi o ich istotę, mimo świekości Brandenburgii i początkowo zakonnego charakteru ośrodka wschodnio-pruskiego. Powstawały i inne ośrodki z tego samego ducha zrodzone, jak np. Saksonia (porównaj np. okres panowania Henryka Lwa). Ta wielokrotność zjawiska i jednocześnie jego trwałość jest charakterystyczna. Podkreślić należy również, że wszystkie dynastie, wszyscy twórcy tych ośrodków, z których powstały Prusy, napływali stale i niezmiennie z głębi Niemiec i ze postępowanie ich i polityka była zawsze taka sama. Istnieje historyczna ciągłość ludzi i metod, a naród niemiecki jest jedynym ich źródłem, z którego się wywodzą stale i bez przerwy.

Z ziemi najbardziej i najczystej niemieckiej wyszła również dynastia Hohenzollernów, która dopiero w XV wieku przyszła z zachodu do Brandenburgii i ostatecznie zcementowała dzieło poprzedników. Szwabia, Frankonia, Bawaria Westfalia i w ogóle rdzennie niemiecki zachód oto główny zbiornik i źródło sił, które pracowały przez wieki nad utworzeniem marchii wschodnich, zcalając wreszcie cały w tym kierunku dorobek w Prusach, podobnie jak niedawno Hitler zcałił dziesiątki podobnych do siebie i powstających samorzutnie i niezależnie od siebie ruchów w jedną Partię Narodowo-Socjalistyczną i stanął na jej czele. Rzecz ciekawa, że badając rodowód twórców i przywódców hitlerizmu znowu stwierdzimy, że prawie wszyscy oni podobnie jak dawne dynastie niemieckie i rycerze krzyżowi wywodzą się z ziemi najbardziej niemieckich — Frankonii, Szwabii, Bawarii, Westfalii, a mało kto ze wschodu. Hitleryzm terytorialnie nawet zrodził się na rdzennych ziemiach niemieckich i z rdzenia narodu niemieckiego.

Nie Prusy więc stwarzają Niemcy ale Niemcy tworzyły Prusy i tworzyły je ciągle i bez przerwy aż do dzisiejszego dnia. Prusy bowiem nie są tylko krajem ale "Prusy są zasadą" (*Preussen ist ein Prinzip*), jak to powiedział jeden z teoretyków niemieckiego przemysłu, który ostatecznie wyraził się w hitleryzmie, Moeller van den Bruck. I jako zasada, jako motyw, jako charakter są najistotniejszą cechą duszy niemieckiej, która stale ją ze siebie wydaje. Prusy nie powstały od jednego razu, Prusy rodziły się ciągle, ostatni raz wcielając się w hitleryzm. Prusy jako możliwość były, są i będą w Niemczech

zawsze i wszędzie. Są one owocem drzewa niemieckiego. Hitleryzm jako ponowny wysiew "Prus jako zasady" znalazł sobie tylko w istniejącym już i na tej samej zasadzie opartym państwie pruskim kapitalne narzędzie i rozszerzył je również formalnie i organizacyjnie ostatecznie na całe Niemcy. Nie można więc bezkarnie odwracać procesu, który dokonywał się logicznie od tysiąca lat i powiadać, że dzisiejsze Niemcy są tworem Prus, a nie Prusy tworem Niemiec, bo wtedy wyciągnie się ten fałszywy i niebezpieczny wniosek, że wystarczy obalić Prusy, a nigdy już Niemcy nie będą pruskie i tym samym groźne i niebezpieczne. O ile by Niemcy pozostały silne i zdolne do dalszego rozwoju, niebawem wydałyby się siebie nowe Prusy albo twór, który by zupełnie Prusom odpowiadał. Bo — powtarzamy to z uporem — nie Prusy sprusaczyły Niemcy, aczkolwiek rzecz prosta każde urzeczywistnienie ma wpływ na szybkość procesu i oddziałuje ze swojej strony jako bodziec na jego przebieg, ale Niemcy zniemczyły i wydały ze siebie Prusy, kraj dawniej przez inny zamieszkały naród, i zawsze je będą tworzyły, gdy znajdą ku temu sprzyjające warunki. Sama nazwa jest przypadkowa i odziedziczona jak wiadomo po innym, zupełnie wypędzonym narodzie.

Nie płynię stąd oczywiście żadną miarą wniosek, ażeby dzisiejsze Prusy oszczędzać. Przeciwnie rozbicie i zupełne zniszczenie dzisiejszych Prus, a ściślej się wyraziwszy, istniejącego wcielenia "Prus jako zasady", równać się będzie wyrwaniu jadowitych zębów węzłowi. Waż przez dłuższy czas nie będzie niebezpieczny. Ale nie wolno o tym zapominać, że nieuchronną siłą rzeczy zęby będą odrastać i gdy się przestanie uważać, ukąszenie może znowu stać się groźne.

* * *

Kwestia likwidacji Prus, i to likwidacji najzupełniejszej, jest warunkiem wstępnym każdego rozwiązania kwestii niemieckiej. Drugim logicznym warunkiem, zważywszy, że Prusy — a więc tak samo każdy twór który by na ich miejsce powstał — są głównym narzędziem działania i rozwoju zaborczego ducha niemieckiego, jest, ażeby stworzyć takie warunki, które by uniemożliwiły odrastanie Prus względnie ich odpowiednika w przyszłości. Należy więc zapobiec raz na zawsze tworzeniu państwa, które by istnienie swoje oparło na kolonizacji i na ziemi skolonizowanej oraz w ogóle na tradycji kolonizacyjnej. Takie państwo niemieckie będzie zawsze państwem militarnym i antykulturalnym. Cywilizacja jego będzie cywilizacją militarną, to znaczy będzie ono rozbudowywało drogi, bo każda droga umożliwia panowanie nad kolonizowanym obszarem i ma wartość strategiczną, będzie tworzyła architekturę opartą na architekturze fortecznej, jak np. architektura krzyżacka, będzie doskonale i sprawnie zorganizowane, bo tylko sprawną organizacją pozwala na rozwijanie siły militarnej, znakomicie udoskonali wszelkie środki łączności, rozbuduje wiedzę i przemysł, jednak głównie z punktu widzenia konieczności wojskowych itd.

Stworzona przez nie cywilizacja będzie jednak w najgłębszej swojej istocie przeciwna i wroga prawdziwej i rzeczywistej kulturze duszy i umysłu. Tak było zawsze, tak było dzisiaj i tak byłoby w przyszłości. W wymienionej już na tym miejscu pracy *Das deutsche Ordensland Preussen* tak niepokojący autor jak Henryk Treitschke, entuzjasta dzieła Zakonu Krzyżackiego, z najniższą krwią podkreśla już nietylko *akulturalny*, ale *antykulturalny* charakter działalności Zakonu, jego wrogość wobec tych zakonów, które właśnie były wyrazicielami kultury (Cystersi i Benedyktyni), straszliwy brak wykształcenia

mnichów krzyżackich oraz brutalność i prostactwo ich obyczajów. "Podobnie jak nauka, tak i poezja (*Dichtkunst*) zamilkła zupełnie w kraju zakonnym", powiada Treitschke otwarcie, dodając że nawet architektura "nie zapiera się surowego (*streng*) ducha państwa militarnego".

Słynny ten historyk i bojownik wskrzeszenia Rzeszy Niemieckiej pod przewodnictwem Prus pisze o tym wszystkim z uznaniem. Wielbiąc Prusy byłby on niewątpliwie, gdyby dożył (umarł w roku 1896) z równym entuzjazmem odniósł się do hitleryzmu. Analogie bowiem występują tu niezwykle silnie i podkreślamy to umyślnie aby wykazać stałość przejawu. Z tego więc punktu widzenia odebranie Niemcom tych ziem, na których doprowadzili do rozkwitu te właśnie swoje militarne i brutalne instynkty, jest pierwszym warunkiem każdego rozwiązania kwestii niemieckiej, które nie ma zagrażać pokojowi świata.

Jeżeli wielu polityków angielskich sprzeciwia się granicy Odry dla Polski, to wykazują oni tylko, że po raz niewiadomo który nie rozumieją Niemiec. Właśnie odebranie Niemcom tych ziem, z których zrobiły sobie one podstawę rozwoju wrodzonego całym Niemcom ducha pruskiego (*Preussentum*) i hitleryzmu, bardzo skutecznie utrudni ponowny jego rozkwit. Są to ziemie skolonizowane przez Niemców krwią i żelazem. W wyniku takiej kolonizacji rodzi się zawsze i odradza państwo militarne. Podjęcie na największą miarę planów kolonizacyjnych na wschodzie przez Hitlera było najzupełniej logicznym przejawem niemieckiego ducha pruskiego i łączyło się z tą samą nieublaganą logiką z ponownym rozkwitem militarizmu niemieckiego wywołując olbrzymią katastrofę wojenną. Podkreślenie beznadziejności polityki kolonizacyjnej przez cofnięcie wstecz procesu kolonizacyjnego to znaczy cofnięcie Niemiec do Odry, bardziej niż odebranie Zagłębia Ruhry sparaliżuje ducha zaborczego w narodzie niemieckim i osłabi twórczość w kierunku militarnym krzyżacko-prusko-hitlerowskim. Zagłębie Ruhry jako arsenał jest objawem wtórnym. Nie dlatego Niemcy atakowali ponieważ mieli arsenał, ale rozbudowali arsenał ponieważ chcieli atakować. Odebrać i sparaliżować im wolę jest jeszcze lepiej niż odebrać narzędzie, chociaż oczywiście i to ostatnie ma duże znaczenie, którego wcale nie chcemy umniejszać.

Odebranie ziem Niemcom aż po Odrę i zniszczenie Prus osłabi również ścisłą centralizację państwa niemieckiego, której wyrazem i przedstawicielem były właśnie siedzące na ziemiach wschodnich Prusy jako pierwiastek ducha wojskowo-zdobyczego, który zawsze i wszędzie zmierza do centralizacji. Z tego punktu widzenia pomysł wskrzeszenia federalizmu niemieckiego, który obserwujemy dzisiaj zwłaszcza w Anglii i w Ameryce, wydaje nam się na ogół słuszny. Historia Niemiec w ostatnich stuleciach była historią ich jednoczenia centralistycznego, przeprowadzanego z żelazną logiką przez Prusy. Ostatniego etapu tego jednoczenia i przeorganizowania Niemiec na jednolite i sprawne państwo militarne dokonał właśnie Hitler. Nie zapominajmy jednak, że cały proces jednoczenia Niemiec i zacierania odrębności poszczególnych krajów w dziewiętnastym wieku przebiegał pod znakiem zdobycia siły dla działania na zewnątrz. Niezwykle jasno zaznaczyło się to już w okresie rządów Bismarcka. Pierwiastek pruski, pierwiastek kolonizacyjno-zdobyczy stał u kółki tego jednoczenia. Nie wynikało ono z organicznego i pokojowego procesu zrastania się poszczególnych członów narodu niemieckiego. Było ono zawsze wynikiem działania siły albo wprost, albo pośrednio z wy-

rażnym celem dalszego rozwoju tej siły. Stąd zjednoczenie Niemiec, pojmowane jako usprawnienie ośrodka dyspozycji i władzy, miało, ma i będzie zawsze miało u źródła charakter grożącej napaści. Centralizacja wymaga zawsze w ośrodku dyspozycyjnym poczucie władzy, dążność do władzy i z nieubłaganą logiką, dążność do rozszerzenia jej zasięgu. Stąd w Niemczech zjednoczenie i centralizacja zawsze stanowić będzie pożywkę dla odrodzenia się w nich ducha pruskiego — *Preussen als Prinzip* jak powiada Moeller van den Bruck. Decentralizacja natomiast uwolni w Niemczech te siły dodatnie, które duch pruski wszędzie tam, dokąd przelikał, skutecznie zdławiał, czy to w Zakonie Krzyżackim, czy w Prusach fryderycjańskich, czy wreszcie w ogarniętych przez "zasadę pruską" Niemczech hitlerowskich. Państwo hitlerowskie według słów Hitlera w *Mein Kampf* miało "nastawić całe swoje wychowanie nie na wpompowywanie wyłącznie wiedzy, ale przede wszystkim na wyhodowanie zdrowych ciał. W drugim dopiero rzędzie przychodzi potem wykształcenie zdolności umysłowych".

Analogia z charakterystyką stosunków w Zakonie Krzyżackim jest uderzająca. Jałowość zresztą Brandenburgii, Zakonu Krzyżackiego, a potem Prus w zakresie kultury była zawsze uderzająca, i nie mogło być inaczej. Być może, że właśnie jako przeciwstawienie zasadzie centralizacyjnej w Niemczech wyrwało się, bodajże Goethemu, zdanie, że Niemcy dopiero wtedy wydadzą z siebie co mają najlepszego, gdy zostaną rozproszeni po całym świecie.

Nie idziemy zgoła tak daleko. Ale zawsze tak było, że tylko wtedy dochodziły do rozkwitu pierwiastki doprawdy wartościowe w narodzie niemieckim, gdy słabo zcentralizowanie ich siły państwowej, która nieuchronnie prowadziła do rozkwitu krzyżacko-pruskiego pierwiastka antykulturalnego. Nigdzie może — to jest dla Niemiec bardzo charakterystyczne — przeciwstawność tych dwóch pierwiastków i niemożność ich pogodzenia nie uwydatniała się bardziej jak właśnie u nich. Odebranie podstawy do rozwoju pierwiastka pruskiego nie zabezpieczy co prawda przed nim świata zupełnie, bo zawsze on u Niemców istnieje i każde sprzyjające warunki natychmiast go rozwiną, ale w każdym razie niebezpieczeństwo to znacznie umniejszy. Stąd powstanie kilku samodzielnich ośrodków życia niemieckiego i możliwie niezbyt ścisły związek kilku państw niemieckich byłby stosunkowo najlepszym rozwiązaniem bez względu na to, że dążności powrotu do centralizacji oczywiście nie wymrą i będą istniały. Będą one jednak tym słabsze, im dokładniej usunie się podstawę, z której dążności te najsilniej wychodziły, to znaczy odbierze się Niemcom ziemię skolonizowaną na wschodzie.

Centralizacja Niemiec pod znakiem rozwoju pierwiastka militarne i napastniczego szła bowiem zawsze od wschodu. Dlatego *inunctim* między granicą Odry a możliwością rzeczywistej decentralizacji Niemiec nie ulega dla nas wątpliwości. Ale tego *inunctim* właśnie na Zachodzie się jeszcze nie rozumie. Stąd raz jeszcze powtarzamy: ustrój federacyjny Niemiec przy postawieniu im ziem wschodnich jest fikcją. Możliwy jest on tylko wtedy, gdy Niemcy ziemię nie utracą. Dążenia unifikacyjne w stylu pruskim mogą wtedy tak dalece osłabnąć, że naturalna różnorodność ziem niemieckich będzie się mogła uwydatnić. Kultura niemiecka tylko na tym zyska. Wydawała ona najpiękniejsze owoce właśnie wtedy, gdy słaby dążenia centralizacyjne i gdy poszczególne ośrodki niemieckie miały możliwość indywidualnego rozwoju.

(Dokończenie nastąpi).

A. TOMICKI

MICHAŁ STACHNIK

NOWA SOWIECKA "PIĘCIOLATKA"

Głównym zadaniem nowego, powojennego rosyjskiego planu pięcioletniego jest, jak wiadomo, podniesienie stanu uzbrojenia Rosji. Plan więc rzucił nadzieje mas rosyjskich, że po ofiarach ponoszonych przed wojną, a zwłaszcza podczas wojny, przyjdzie wreszcie okres poprawy warunków materialnych bytu tych mas, wzmocnie ich zaopatrzenie w środki powszechnego spożycia.

Rozwój przemysłu wojennego i produkcji dóbr wytwórczych stanowi, można by rzec, niemal wyłączny przedmiot zainteresowania w nowym, powojennym planie pięcioletnim. Mówią o tym dane, publikowane przez Rosję, mówią o tym wyraźnie pomimo nawet tego, że prawdę usiłuje się przeważnie ukryć w mętnej frazeologii.

Podczas wojny nastąpiło bardzo znaczne zmniejszenie produkcji dóbr spożycia i zdolności wytwórczej tego rodzaju przemysłu, przy stosunkowo poważnym wzroście produkcji i zdolności wytwórczej przemysłu wojennego i przemysłu dóbr wytwórczych. Według niektórych ocen, zdolność wytwórcza przemysłu dóbr spożycia w 1945 r. odpowiadała w najlepszym razie 40% zdolności wytwórczej tego przemysłu w 1940 r., czyli przed wojną. Nowy plan pięcioletni przyrzeka podniesienie produkcji w tym zakresie zaledwie o 25% ponad poziom przedwojenny. Propaganda, aby ukryć ten fakt, mówi, że wytwórczość dóbr spożycia będzie podnoszona przeciętnie rocznie o 17% w stosunku do stanu produkcji w 1945 r., gdy podczas trzeciego danego planu. Przemilcza się jednak znaczne zmniejszenie się wytwórczości dóbr spożycia podczas wojny i fakt, że te 17% przeciętne roczne przyrostu produkcji będą szły przez pierwsze trzy i pół roku całego pięcioletniego okresu na wyrównanie wojennego spadku produkcji. Dopiero pod koniec czwartego i w piątym roku będzie następować poprawa zaopatrzenia ludności w dobra spożycia w stosunku do stanu przedwojennego. Ale jakże nikła będzie ta poprawa. Trzeba dodać, że będzie to poprawa globalnego zaopatrzenia ludności w środki spożycia. Ponieważ jednak ludność Rosji będzie większa o ca. 15% w 1950 r. od ludności Rosji w 1940 r., wzrost globalnego zaopatrzenia w dobra spożycia ponad poziom 1940 r. o 25% oznacza faktycznie znacznie mniejszy, aniżeli 25% wzrost zaopatrzenia na głowę ludności pod koniec okresu nowego planu pięcioletniego w stosunku do stanu przedwojennego.

Propaganda rosyjska reklamuje każdy fakt wzrostu zaopatrzenia mas w dowolny artykuł spożycia. Ponadto ciągle udowadnia się, że osiągnięcie "etapu komunizmu" w przyszłości (według propagandy rosyjskiej Rosja osiągnęła obecnie zaledwie "etap socjalizmu"), który będzie cechowała obfitość zaopatrzenia mas w dobra spożycia, jest możliwe tylko poprzez intensywny proces rozwoju produkcji dóbr wytwórczych, a rozwój produkcji dóbr wytwórczych na skalę "pięcioletek" wymaga rezygnacji z poprawy zaopatrzenia ludności w dobra spożycia. Czy argumenty te trafiają do przekonania ludności rosyjskiej po wojnie, tak jak trafiały do jej przekonania w okresach trzech "pięcioletek" przedwojennych? Trudno jest odpowiedzieć na to pytanie. W każdym razie z porównania propagandy rosyjskiej sprzed wojny z obecną, wynika, że Rosja musi dokładać obecnie

więcej starań, aby "uspokoić apetyty" swej ludności na elementarne środki bytu.

Pytanie, które pozostawiliśmy bez odpowiedzi, jest bardzo istotne z punktu widzenia wykonania całego planu pięcioletniego. Mianowicie, czy ludność źle zaopatrywana w środki spożycia będzie zdolna do dobrej wydajności pracy, albo czy zechce zdobywać się na poprawę wydajności pracy? Może po prostu sabotować wysiłek wytwórczy. A stwierdza się zupełnie wyraźnie w publikacjach rosyjskich, że 70% przyrostu produkcji w okresie nowego planu pięcioletniego ma być otrzymane dzięki wzrostowi wydajności pracy ludzkiej. Wydajność ta jest obecnie bardzo mała i spada. Fakt ten sprawia, że niemal główny wysiłek propagandy zmierza obecnie do podniesienia wydajności pracy, głównie na drodze ożywienia i zintensyfikowania metod konkurencji pracy ("sosevnovanie", "stachanovskie dwizeniji" itp.), metod pracy akordowej itp.

Przy niedostatecznej podaży rąk roboczych zwiększenie wydajności pracy posiada dla Rosji tak wielkie dziś znaczenie, jak nigdy jeszcze dotychczas.

Stan zatrudnienia (robotnicy i urzędnicy) we wszystkich dziedzinach produkcji dóbr i usług (przemysł, rolnictwo, transport, bankowość, komunikacja, szkolnictwo, zdrowie itp.) przedstawiał się w Rosji następująco w porównaniu do zatrudnienia, jakie ma być osiągnięte pod koniec nowego planu pięcioletniego, czyli w 1950 r. (w tysiącach):

1932	1937	1940	1942	1945	1950
22.943	26.989	30.400	32.000	27.250	33.500

Spadek zatrudnienia podczas wojny byłby jeszcze większy, gdyby nie masowy wzrost zatrudnienia kobiet. Udział kobiet w pracy w przemyśle wynosił przed wojną około 40%; podczas wojny znacznie ponad 70%. W rolnictwie udział kobiet wynosił około 70% ogólnego zatrudnienia podczas wojny. Tempo wzrostu ogólnego zatrudnienia w okresie przedwojennych pięcioletek wynosiło od 800 tys. do 1.000 tys. w stosunku rocznym. W bieżącej pięcioletce ma ono wynieść 1.250 tys. w stosunku rocznym. Utrzymanie tego rodzaju tempa "wcielania do pracy" pociągnie za sobą między innymi następujące konsekwencje: 1) podniesienie odsetka kobiet w liczbie ogólnego zatrudnienia (wynika to zresztą również ze specjalnego nacisku, jaki kładzie się obecnie w Rosji na akcję rekrutacji kobiet do pracy), a co najmniej utrzymanie — nienormalnie wysokiego — wojennego odsetka; 2) konieczność rekrutacji elementów mniej zdolnych i mniej cywilizowanych (wobec wyczerpywania "pokładów" elementu społecznego bardziej uzdolnionego i bardziej nadającego się do pracy w przemyśle).

Niezależnie więc od oporów społeczeństwa, wynikających z lekceważenia jego potrzeb, spadek wydajności pracy może być rezultatem po prostu pogorszenia się ogólnego poziomu zdolności robotników. Czy można będzie liczyć, że 70% przyrostu produkcji będzie rezultatem poprawy wydajności pracy? A wobec tego, czy można będzie liczyć, że przy wzroście produkcji dóbr spożycia o 25% ponad poziom przedwojenny pod koniec bieżącego okresu pięcioletniego, produkcja ekwipunku wytwórczego wzrośnie o 100%, jak to przewiduje plan pięcioletni?

MICHAŁ STACHNIK

ZAGADNIENIE DEMOKRACJI

ZYJEMY w dziejowym okresie załamania się t. zw. "fasyzmów" i triumfu t. zw. "demokracji".

Jesteśmy przy tym świadkami ciekawego sporu na temat, co nazywać demokracją i jaka demokracja jest najlepsza. W tej dziedzinie panuje duże pomieszanie pojęć, zarówno w zachodniej wolnej Europie, jak i na terenach okupowanych przez Sowiety (Z.S.S.R.). Między innymi sowieckimi ekspozyturami t. zw. warszawski rząd tymczasowy (zwany też często rządem lubelskim) rozgłasza przez upaństwowioną prasę i radio, że w Polsce obecnie panuje pełna demokracja. To samo twierdzi propaganda sowiecka w odniesieniu do Rosji, Polski, Rumunii, Węgier, Austrii, Jugosławii, Bułgarii... Natomiast od ludzi uciekających z tych krajów słyszymy, że panuje tam terror i rządzi wszystkim NKWD (dawna Czereszczajka, GPU) bądź bezpośrednio, bądź przez zależne od NKWD lokalne "wydziały bezpieczeństwa".

Warto więc poświęcić parę słów zarówno zasadniczemu oświetleniu zagadnienia, jak i wyjaśnieniu sowieckiego punktu widzenia.

Wiemy wszyscy, że demokracja (ludowładztwo) narodziła się w starożytnej Grecji jako forma życia państwowo-państwowego. Sama nazwa też pochodzi z Grecji. Przy tym mamy dwie formy praktycznego zastosowania demokracji. Jedną *bezpośrednią*, polegającą na tym, że lud schodzi się co pewien czas w określonym miejscu i sam uchwała ustawy, mianuje i usuwa urzędników, sędziów itp. Drugą *pośrednią*, polegającą na tym, że lud ogranicza się do wyboru swych organów przedstawicielskich, np. parlamentu (sejmu, senatu), a czasami i prezydenta (np. w U.S.A.). Zasadą demokracji jest, że decyduje większość głosów, a głosy są sobie równe. W dzisiejszych czasach w państwach demokratycznych stosowana jest forma demokracji pośredniej, przy czym pod słowem "lud" często rozumie się "cały naród" i odwrotnie.

W Polsce konstytucja z 1921 r. w art. 2 głosi: "Władza zwierzchnia Rzeczypospolitej Polskiej należy do narodu".

W monarchii suwerenem był monarcha "z Bożej łaski". Wiek XIX, a w szczególności pierwsza wojna światowa, zadały śmiertelny cios monarchiom, a miejsce królów i cesarzy zajął "suwerenny naród".

Wola narodu może jednak w pełni ujawniać się tylko w warunkach zupełnej *wolności*, w warunkach pozbawionych jakiegokolwiek terroru. Nawiasem dodać trzeba, że interpretacja słowa "naród" jest też rozmaita w różnych współczesnych prądach politycznych.

W czasie drugiej wojny światowej symboliczną niejako postacią walczącą "zachodniej demokracji" stał się brytyjski premier p. Churchill. W swojej rzymskiej mowie w 1944 r. tak określił on praktyczne warunki wolności demokratycznej: 1) naród ma pełną swobodę wypowiedzania swojej woli politycznej, 2) naród ma pełną swobodę organizowania się w stronnictwach, pozostających w opozycji do rządu, 3) naród ma pełną swobodę usunięcia rządu, który mu nie odpowiada, 4) naród ma zagwarantowaną równość wszystkich obywateli wobec prawa, 5) istnieją sądy w wyrokowaniu swym od rządu niezależne oraz nie istnieje instytucja podobna do Gestapo.

Churchill praktycznym umysłem Anglika i wytrawnego męża stanu znakomicie uchwycił realną stronę zagadnienia. I jeśli jego słowa zestawimy z wiadomościami napły-

wającymi z Polski i z faktami polskiego życia politycznego pod rządami Bierutów i Co, to obiektywnie stwierdzić można, że obecnie w Polsce żaden z podanych przez Churchilla elementarnych warunków demokracji — *nie jest zachowany*. Bowiem Naród Polski dotychczas nie ma pełnej swobody wypowiedzania swojej woli politycznej, nie ma swobody organizowania niezależnych stronnictw, nie ma swobody w usunięciu nieodpowiedniego rządu, nie ma faktycznej równości obywatelskiej wobec prawa, nie istnieje niezależność sądów, natomiast istnieje instytucja podobna do Gestapo, którą jest Ministerstwo Bezpieczeństwa, będące ekspozyturą sowieckiego NKWD i pozostające pod kierownictwem "generała" Radkiewicza, agenta sowieckiego NKWD.

Tymczasowy rząd warszawski stosuje zasadę "koncesjonowania" stronnictw politycznych, t.j. dopuszcza do działalności tylko te stronnictwa, na które rząd się godzi. Przy tym działalność "legalnych" stronnictw jest ściśle kontrolowana przez "bezpiekę", a wszelkie opozycyjne wobec rządu wystąpienia tłumione są metodą cenzury, represji rozmaitego rodzaju, więzień, wywozeń do Rosji i mordów. Podsumowujemy tu fakty już notorycznie znane i niezbitnie stwierdzone. Tak wygląda dzisiejsza "demokratyczna" rzeczywistość polska w wydaniu sowieckiej okupacji.

Propaganda sowiecka wieści światu, że w Rosji (Z.S.S.R.) panuje obecnie wolność i że zasadą rządzenia — według określenia Stalina — jest "wyższa forma demokracji". Myślący Europejczyk staje wobec pytania: cóż to za nowa demokracja? Dotychczas wiedzieliśmy, że w Rosji panuje terror, że w obozach koncentracyjnych osadzonych jest około 17 milionów ludzi, eksploatowanych nieludzką w przymusowej pracy, że Rosją rządzi oligarchiczna grupa komunistyczna, że stosowana jest tam zasada monopartyjna (rządy jednej partii), że o wszystkim decyduje NKWD i NKGB, że nie ma tam ani wolności słowa, ani wolności zrzeszania się, ani wolności wyborów, ani niezawisłych sądów, ani praw obywatelskich, ani rządu ludu... I to ma być demokracja? Do tego — *wyższa*? Od ludzi przybywających z kraju dowiedzieliśmy się, że pytania te interesowały wielu i że były przedmiotem ostrożnych rozmów z sowieckimi oficerami. Oficerowie ci tłumaczyli (z pewnym zażenowaniem), że w Rosji dlatego jest "*demokracja*", że tam władza należy do *robotników i chłopów*, a demokracja sowiecka dlatego jest "*wyższa*", że lud wszędzie jest głupi i nie potrafi mądrze ocenić i wybierać ludzi na państwowe stanowiska, więc słusznie rozumna władza sowiecka zastępuje głupi lud i sama *mianuje* odpowiednich ludzi na urzędy, oczywiście spośród chłopów i robotników. Na pytanie, dlaczego lud w Rosji nie ma możliwości legalnego usunięcia rządu sowieckiego i dlaczego w rządzie sowieckim prawie nie ma robotników i chłopów, a sam Stalin też nie jest ani robotnikiem ani chłopem — oficerowie sowieccy bądź odpowiadali wykrętnie, bądź nie odpowiadali wcale, bądź wyrzekli nie zadawać takich "faszystowskich" pytań.

Nawet dla ludzi bardzo naiwnych politycznie i nie znających metod i celów działania rządu sowieckiego, powoli staje się jasnym, że rząd ten przez swoją propagandę "wyższej demokracji" dąży do zamaskowania swojego właściwego charakteru wobec mas ludowych

całego świata i zmierza do powiększenia zamętu w pojęciach tych mas.

Zadaniem naszym powinna być rzecz przeciwna: demaskowanie fałszów propagandy sowieckiej i porządkowanie zasadniczych pojęć politycznych w umysłach ludzkich. Ale tu stwierdzić musimy, że w dziedzinie pojęć o demokracji widzi się i omawia na ogół tylko *zewewnętrzne* cechy demokratycznych ustrojów. Pomija się zazwyczaj rzecz najważniejszą jaką jest *wewnętrzna* różnica między demokracjami rozmaitego typu. Bowiem ustroje demokratyczne, oceniane według ich *istotnej treści ideologicznej*, treści wewnętrznej, treści podstaw życia — *różnią się między sobą zasadniczo*. W te formy życia demokratycznego, które opracowała Grecja, Rzym, demokracje zachodnio-europejskie, demokracja amerykańska, o których mówił p. Churchill w Rzymie, można wkładać *różną* treść ideologiczną. W zasadniczych formach ustroju demokratycznego może się mieścić życie oparte o *zasady materialistyczne* (państwo demokratyczne pogańskie, bezbożnicze), a w tych samych demokratycznych formach mieścić się może życie oparte o *zasady spirytualistyczne*, *chrześcijańskie* (państwo demokratyczne chrześcijańskie). Może też być państwo demokratyczne o stosunku *neutralnym* (teoretycznie) do obu tych podstaw życia.

Idąc po linii rozróżniania ustrojów demokratycznych według ich *treści ideologicznej*, treści podstaw życia, na których państwo jest oparte, można wyprawać następujący podział demokracji rozmaitego typu wewnętrznej:

- 1) demokracja liberalno-kapitalistyczna, światopoglądowo materialistyczna,
- 2) demokracja socjalistyczna (socjalizm ewolucyjny), również światopoglądowo materialistyczna,
- 3) demokracja chrześcijańska, światopoglądowo bądź spirytualistyczna, bądź przepojona materialistycznym radykalizmem, pływającym z chęci licytowania się z marksizmem,
- 4) demokracja narodowa, światopoglądowo bądź spirytualistyczna, chrześcijańska, bądź bezbożnicza.

Podział powyższy nosi oczywiście charakter ramowy, orientacyjny. Współczesne życie polityczne i społeczne jest bardzo skomplikowane i stosowanie schematów musi być bardzo ostrożne, gdyż łatwo popełnić błąd w ocenie badanego zjawiska. Lecz zawsze należy mieć podstawowe kryteria, jeśli się chce zjawiska głębiej badać i klasyfikować, celem wyciągnięcia wniosków do politycznego działania.

Jest rzeczą bardzo pouczającą, że demokracje światopoglądowo materialistyczne, a więc demokracje liberalno-kapitalistyczne i demokracje socjalistyczne, zawsze szukały dróg zbliżenia do światopoglądowo materialistycznej, totalistycznej (antydemokratycznej) Rosji Sowieckiej. Odczuliśmy to dotkliwie na własnej skórze w 1920 roku, gdy właśnie tego typu demokracje (ówczesne Niemcy, Austria, Czechosłowacja, Anglia) utrudniały Polsce pomoc w dostawie materiałów wojennych dla obrony przed Rosją Sowiecką. Obecnie również jesteśmy świadkami prób zbliżenia tych samych sił do Rosji Sowieckiej, również m. in. naszym kosztem. Sytuacja jest o tyle

TADEUSZ PISZCZKOWSKI

POLSKA A ŚRODKOWA EUROPA

WIELKIE idee i wielkie koncepcje polityczne nie rodzą się w zawitych rozumowaniach. Powstają one zazwyczaj ze sformułowań prostych, z "prawd uproszczonych", z haseł. Te idee i koncepcje najczęściej nie są wytworem jednostkowego umysłu, lecz rodzą się jak gdyby z geniusza narodowego instynktu. Tak powstało małe dla nas sympatyczne hasło niemieckiej ekspansji wschodniej (*Gegen Osten wollen wir reiten*), na którego śladach wyrosły ogniska niemieckości takie, jak Wiedeń, Berlin i Drezno. Tak wyrósł mit naturalnych granic Francji na linii Renu i Alp, dawno przed Ludwikiem XIV i Napoleonem. Tak wytworzyło się pojęcie jedności Włoch — *Italia una* — gdzieś w XV wieku, kiedy jeszcze w XIX w. Metternich będzie głosił, że Włochy są pojęciem geograficznym. I tak powstało hasło jagiellońskiej Polski "od morza do morza", chociaż nie wypowiedział go i nie zrealizował żaden z Jagiellonów.

Spośród znanych wielkich haseł narodowych tylko nieliczne mogą wytrzymać próbę wywodu autorstwa: takim wyjątkiem jest np. hasło Piotra Wielkiego "okna do Europy", które pozostało odtąd na zawsze dziedzictwem jego spadkobierców. Niektóre hasła, które dadzą się zindywidualizować, jak słynne powiedzenie Wilhelma II: *Unsere Zukunft liegt auf dem Wasser* — są przykładem nieziszczalności pewnych celów, którym przeczy sama natura.

Jasne wytyczenie celów jest właściwością narodów i umysłów młodych i żywotnych. Dlatego nie nazwałbym tak, jak to czyni Wojciech Wasiutyński w swoim ostatnim artykule w *Myśli Polskiej*, "łatwiznami" takiego upraszczania zadań politycznych. Uciekanie bowiem od wyraźnych sformułowań celów prowadzi czasami do jałowości i dekadencji myśli politycznej: Francja w ostatnim okresie przed wojną była przykładem takiego upadku myśli politycznej przez porzucenie śmiałych haseł i celów i pogrążenie się w

(Dokończenie ze str. 5)

niebezpieczniejsza od 1920 roku, że Polska jest już okupowana przez wojska sowieckie, a Sowiety prowadzą zręczną politykę wobec mas m. in. drogą wyżej scharakteryzowanej propagandy "wyższej formy demokracji". Ale zarazem sytuacja nasza jest lepsza od 1920 roku, gdyż jaskrawiej stanęły przeciwko sobie sprzeczne interesy militarne, polityczne i ekonomiczne t.zw. "świata demokracji" i t. zw. "świata bolszewizmu". Ma to i będzie miało swoje nieuniknione konsekwencje w każdej dziedzinie życia, gdyż interesy te wyłączają się nawzajem i znalezienie między nimi równowagi na dłuższą metę jest niemożliwe.

ZET.

polityce z dnia na dzień. Także i polityka Wielkiej Brytanii była bardziej twórcza, kiedy operowała uproszczeniami, jak *two powers standard* na morzach, lub kiedy z matematyczną dokładnością wymierzała *balance of power*.

W położeniu Polski zakładać możemy oczywiście tylko takie cele, które znajdują się w zasięgu naszych możliwości. Nie możemy budować naszej polityki w oderwaniu od rzeczywistości i od faktów nieuchronnych, jak sąsiedztwo na zachodzie i wschodzie Polski dwóch potężnych narodów, pod względem dynamizmu może najpotężniejszych narodów świata. Musimy uważnie obserwować zmiany, jakie dokonały się zarówno w Europie, jak w Azji i szczególnie pilnie śledzić zamierzenia polityki rosyjskiej. Znaczenie spraw wschodnio-azjatyckich dla Rosji i dla całego świata urosło niepomiernie, jak to zawsze przewidywał Dmowski. Jednocześnie jednak zaszły tak znaczne przemiany w Europie i nastąpić mogą takie zmiany dalsze, że kto wie, czy prawidło "najmniejszego oporu" nie będzie kierowało polityki rosyjskiej raczej ku linii zachodniej i południowej (Bałkany, Bliski Wschód), niż w stronę Chin i Japonii.

NIEMCY I ROSJA

Polityka polska musi się przeto orientować w obecnej rzeczywistości i musi umieć również przewidywać kierunek przyszłych procesów politycznych. Przed r. 1914 Dmowski z całą dokładnością stwierdził, że Niemcy "szukają guza" — i swoje założenia polityczne oparł na reakcji, jaką polityka ta musiała wywołać w świecie. Obecnie polityka Rosji może nasuwać podobne refleksje. Polityka Niemiec oraz Rosji posiada pewną cechę wspólną: oba te państwa nie potrafiły dotąd stworzyć systemu polityki zagranicznej, w ramach którego mieściłaby się współpraca z państwami suwerennymi, większymi i mniejszymi. Rezultatem tego braku jest naturalne osamotnienie tych mocarstw, które one nazywają "okrażaniem" lub "kordonem sanitarnym", widząc w tym osamotnieniu wroga rękę z zewnątrz. Możliwość powstania przeciwko Niemcom tak powszechnej koalicji dwukrotnie, w latach 1914—1918 oraz w latach 1939—1945, jest najlepszym potwierdzeniem tej atmosfery osamotnienia Niemiec. Dzisiaj polityka Rosji wytwarza podobną pustkę naokoło siebie.

PROBLEM ŚRODKOWO-EUROPEJSKI

Powyższa wspólna cecha Niemiec i Rosji została już dokładnie rozeznana przez ich najbliższych sąsiadów. Świadomość ta prowadzi logicznie do dwóch konsekwencji. Z jednej strony stwarza ona związki solidarności pomiędzy narodami żyjącymi między Niemcami a Rosją. Z drugiej strony świadomość izolacji, na jaką polityka Niemiec, względnie

Rosji, skazuje te mocarstwa, z natury rzeczy kieruje nadzieje ich niezbyt fortunnych sąsiadów — na zewnątrz.

Na tych przesłankach powstała idea związku narodów Środkowo-Wschodniej Europy.

Idea ta ma swoje braki i zawiera niebezpieczeństwa: rzuca na szalę siły własne stosunkowo niewielkie oraz liczy na poparcie, które jest niepewne. Braki te nie pozwalają na tworzenie jakiejś sztywnej doktryny oraz na zasklepanie się w projektach na dalszą przyszłość, kiedy chodzi o względy praktyczne i jak najbardziej aktualne. Tym niemniej idea ta jest dla Polski oraz dla innych krajów Środkowo-Wschodniej Europy jedynym dostępnym systemem polityki międzynarodowej sąsiedzkiej (regionalnej). Ani system współpracy z Niemcami, ani system współpracy z Rosją nie może być brany pod uwagę w innym pojęciu, jak to, jakie nadaje mu dotąd polityka tych mocarstw, tj. satelityzmu. Przy tym nie jest to satelityzm znany przedtem w Europie, oparty na zasadach *do ut des*, jaki pamiętamy na tle polityki sojuszków, stosowanej kiedyś przez Francję we wschodniej Europie, lub jaki Stany Zjednoczone stosują na terenie Ameryki Łacińskiej.

Idea środkowo-europejska ma tę zaletę, że posiada swoich fanatyków. Nie jest ona zatem tylko koniunkturalną koncepcją, jak przedtem Mała Ententa i rozmaite projekty gospodarczych powiązań w rejonie naddunajskim i bałkańskim. Jest ideą na pewno również doniosłą, jak kiedyś idea zjednoczenia Włoch. Jednościami są nie tylko narody. Mogą być nimi w pewnych wypadkach większe zespoły. Zarówno Stany Zjednoczone, jak Brytyjska Wspólnota Narodów, a także Związek Sowiecki, stanowią pod tym względem przykłady warte zastanowienia.

GOSPODARCZE PODSTAWY

Sprawa gospodarczego "potencjału" krajów Środkowo-Wschodniej Europy nie może być rozważana pod kątem widzenia obecnych środków wojowania. Od tej strony jest to sprawa obojętna. Jeżeli będzie istniała kontrola energii atomowej (i wojna atomowa będzie "poza prawem"), sprawa nie powinna w ogóle wchodzić w rachubę. Jeżeli zaś jej nie będzie, kwestia produkcji bomb atomowych stanie się z czasem zagadnieniem nauki, a nie "siły gospodarczej". Rozpatrując natomiast problem ekonomicznej współpracy w Środkowo-Wschodniej Europie w płaszczyźnie warunków normalnych, szereg organizmów gospodarczych niekompletnych może razem wytworzyć solidną strukturę ekonomiczną. Poważne koła ekonomiczne w Wielkiej Brytanii i Ameryce doceniły w swoim czasie korzyści takiej "rekonstrukcji gospodarczej", kiedy przewidywania polityczne były zgoła inne. Trudności bowiem bynajmniej nie są gospodarczej natury.

PAŃSTWA ANGLOSASKIE

Urzeczywistnienie planu środkowo-wschodnio-europejskiego, tak samo zresztą jak i odzyskanie przez Polskę pełnej niezawisłości nie będzie się mogło zapewne dokonać inaczej jak przy poparciu mocarstw zachodnich. Polityka tych mocarstw, ściśle mówiąc polityka mocarstw anglosaskich, może nawet nie przywiązywać dostatecznej wagi do tych spraw, co więcej może realizacji pewnych naszych zamierzeń nie życzyć sobie wcale. Jeżeli polityka ta weźmie jednak na siebie zadanie główne, które byłoby oczywiście ponad siły nie tylko samej Polski, ale i całej rzeszy narodów środkowo-europejskich, ich własne siły i środki mogą się okazać wystarczające dla osiągnięcia własnych zadań, na marginesie głównych problemów światowych. Przykładem może być włoskie *Risorgimento*. Zjednoczenie Włoch dokonało się pomimo woli, lub wbrew woli Francji, dokonało się dzięki jednoczesnej akcji patriotów włoskich we wszystkich częściach Włoch, przede wszystkim jednak dzięki mądrej polityce Cavoura, który był twórcą przymierza z Francją. Bez zwycięstwa bowiem Francji nad Austrią niepodległość i zjednoczenie Włoch nie mogłyby się urzeczywistnić żadną miarą.

POLSKA A ŚRODKOWA EUROPA

Koncepcja środkowo-europejska nie może być dla polityki polskiej żadnym "panaceum", jak słusznie twierdzi Wasiutyński, będzie jednak jedną z jej istotnych podstaw. Nie można bowiem kwestionować korzyści dla Polski uformowania się pomiędzy Niemcami a Rosją nowego systemu politycznego, ani nie można kwestionować tego, co się już rzeczywiście dokonało w formie zbliżenia między kołami politycznymi kilkunastu narodów tego obszaru. Proces całkowitego politycznego na wewnątrz naszego regionu poczynił tak znaczne postępy, że w pewnym sensie pogodziła się już z nim nawet polityka sowiecka.

Istota zagadnienia dla polityki polskiej w chwili obecnej nie leży jednak w teoretycznych rozważaniach na temat form przyszłych stosunków pomiędzy poszczególnymi krajami środkowo-europejskimi. Leży ona w pytaniu, do jakiego stopnia solidarna akcja przywódców politycznych tych krajów będzie pomocna w realizowaniu ich indywidualnych celów: odzyskania posiadanej przed wojną podmiotowości międzynarodowej. Cel, do jakiego każdy Polak winien dążyć przede wszystkim, jest aż nadto widoczny — i żadna inna sprawa nie może go wyprzedzać. Tak samo myśli każdy uczciwy Węgier, Rumun lub Jugosłowianin. Taktyka jednak, jaka będzie się na tym tle narzucała poszczególnym narodom Środkowo-Wschodniej Europy, nie rozluźni węzłów, jakie zostały związane, w niczym nie przeszkodzi realizacji w przyszłości planów, których właściwy sens dopiero wówczas dojrzeje.

Środkowa Europa nie może zamykać dla polityki polskiej horyzontów szerszej polityki. Na pewno nie będzie ona ostatecznym celem naszej polityki. Musimy zawsze obserwować przeobrażenia w polityce światowej. W zależności od tych przeobrażeń również sama idea Środkowej Europy zmieniać będzie swój charakter. Może ona być ostatecznie drogą pośrednią do jakichś szerszych porozumień międzynarodowych z udziałem wszystkich zainteresowanych. "Bataliony składają się na dywizje" — jak powiedział na ten temat Churchill.

TADEUSZ PISZCZKOWSKI

W. PELC

PIEŚŃ O NASZYM OGRODZIE

Mówiłem do żony o tym, jaki będzie nasz ogród :

Na czterech rogach cztery posadzę sosny, symbole czujności,
by gałęzie ich wonną żywicą plonęły, jak lampy w błyskach wiecznego igliwia.

Powiedziałem mej żonie, że taki ogród posadzę :

Będą w nim same jablonie, wśród drzew najbardziej pokorne słuźki.
Stać będą w bieli na zwiastowanie wiosenne ;
a w jesieni z głową spuszczoną poadażą w zielonych fartuchach owoce rumiane i słodkie.
Zimą modlić się będą zamarzniętą gałęzią na wiatrach :
"Panie, oto odpuszczasz i oto schylamy się sennie w kornej nadziei lata".

Mówiłem do żony o naszym pięknym ogrodzie :

Wzdłuż plotu wyrosnie rycerski głóg,
z kwiatem, co serce otwiera w ogniu.
Będą w ogrodzie maliny z ustami, spiekłymi od wiatru,
na których pieśń, jak na wargach dziecięcych, jest drżać i słodka.
Będą w nim słoneczniki, sprawiedliwych serca wyznawców
co idą za Prawdą i z Jej ognia żyją,
a kiedy popiół ziemię przysypie, patrzą odważnie w tę stronę,
w której słońce zwycięża niebo.

Powiedziałem mej żonie, o naszym mówiąc ogrodzie :

Stanie w nim siedem uli, jak siedem kadzielnic,
dymiących pszczelim kadzidłem w złotych promieniach.
Pierwszy ul będzie znaczyl : Poniedziałek jest Dobą Wiary.
Trzeba zbierać z rezedy pył, przysypyany perlistą rosą,
by przemienić go pracą wytrwałą w Miody Niebieskiej Ojczyzny.
Drugi ul — znaczy Wtorek, Wtorek Dobę Pokory.
Trzeba zbierać w pokorze każdy pyłek z każdego kwiatu,
by przemienić go w pszczelej liturgii na Miody Niebieskiej Ojczyzny.
Trzeci ul to jest Środa. Środa Dzień Miłosierdzia.
Z każdego schnącego badyła, ze złamanych ginących liści
zbierz miłosiernym wysiłkiem, podnieś brzęczącym nalotem
umierającą ostatnią kroplę, by nie zginęła dla Miodów Niebieskiej Ojczyzny.
Czwarty ul — to jest Czwartek, Dzień Zwalczenia Pokusy.
Nie ustawać w pół-dziela, tyle pustego wosku czeka na złoty półów.
Piąty ul — znaczy Piątek. Piątek jest Dobą Męstwa.
Trzeba zwiędzić z odwagą dalekie zakątki sadu,
by nie zabrakło żadnego zapachu, ani żadnej kwitnącej treści
w Miodach Niebieskiej Ojczyzny.
Szósty ul znaczy Sobotę, Dobę Miłości.
Miłości do trawy i drzewa, do wszystkiego, co żyje w ogrodzie.
Siódmy ul jest symbolem Niedzieli, Doby Rubieżnej,
w której chóry śpiewają radość przemiany, radość Złotego Miodu.

Mówiłem do żony, mówiłem o naszym ogrodzie :

Będzie w nim trawa najprostsza, schylająca najniżej ciała,
co pokornie ziemię odzieje, pokłoni się wiatrom i wodzie,
i ofiaruje się miękko stopom.

O, nasz ogród to wielka prośba,
O, nasz ogród to natarczywa, poczworna modlitwa :

Niech na wiosnę przez kwiecie jablonie
i spęczniałe głogi i pachnące wilgotnie trawy
wielbi radość i czystość budzącego się życia.
A gdy Wiosna odejdzie, i jej ślad zasypią różowe prochy,
niechaj Lato podejmie zielony pacierz w ogrodzie
i modli się jeszcze żarliwiej kielkowaniem owocu,
dzwonem uli w południe i topniejącą żywicą na sosnach.
A gdy Lato odejdzie i skoszoną trawę zostawi,
niech Jesień ręką czerwoną rozgarnie gałęzie,
aby jabłka policzyć, i niech stanie u sosen i patrzy na pola,
i modli się jeszcze żarliwiej przeczuciem swego odejścia.
W końcu Zima niech wejdzie, szeleszcząca stopami po liściach,
i prowadzi dalej ogrodową żarliwą litanię.

Mówiłem żonie, o naszym mówiłem ogrodzie :

Oto myśl mam zuchwałą,
stworzę z ogrodu nieustanne godzinki dla Niej,
dla Matki Naszego Boga.
Może kiedyś Jej oczy, zmęczone widokiem
tylu katedr i tyłu posągów, tyłu obrazów i tyłu chórów, głoszących hosannę,
upadną niechcący na ogród. I przypomni się Jej dzieciństwo
i dom rodzinny, gdzie bawiła się w oknie i słuchała skrzypiącej studni . . .
I rzekła mi na to żona : "Pójdź i uczyni. Niech będzie nasz ogród —
Ogrodem Ludzi Żarliwych . . ."

HALINA LASKOWSKA

POWSTANIE WARSZAWSKIE

FRAGMENTY Z PAMIĘTNIKA

DNIA 27 lipca na odprawie zespołu polowych sprawozdawców wojennych i sprawozdawców radiowo-megafonowych zapowiedziano koncentrację i stan pogotowia. Pierwszy rzut zaopatrzonej w sprzęt i auta został umieszczony na Boduena, drugi na Wilczej. Transporty niemieckie tamują prawie normalny ruch uliczny. Chodzimy z plecakami z miejsca na miejsce. Po drodze spotykamy grupki tak jak i my obladowanych ludzi. Tak zwani cywilni przyglądają się z niepokojem i zaciekawieniem. Dni gorące i słoneczne traci się na załatwianie jakichś ostatnich spraw, na nerwowe spotkania z rodziną, a wieczory na układanie audycji, i długie rozmowy. Cały nasz zespół jest związany pięcioletnią wspólną pracą. Wiemy, że podniecenie i niepokój trzeba stonować, ukryć. Nie mówię o tym, co będzie. Myśli się jednak bez przerwy. Rozmowy rwą się. Są bez sensu, są poza.

31 LIPCA

Wieczorem skoszarowani zostajemy ostatecznie. Następnego dnia rano grupa pierwszego rzutu odchodzi na Boduena. My mamy czekać. O 12 łączniczka przynosi instrukcje. Wiemy, że termin powstania został wyznaczony na 5-tą i to, chociaż nakłada ramy wyczekiwaniu, ale wydaje się nierzeczywiste. O godz. 4.30 ruch na ulicy zamiera. Spokój zachowania zaczyna być poza ostentacyjną. Dyżurujemy na balkonie. Wydaje się pierzające, iż zdajemy sobie sprawę, że w pierwszych chwilach będziemy jakby na uboczu, że musimy czekać. A obserwatorami być najtrudniej.

O 4.45 na Kruczej słyszymy pierwsze strzały. Wychylamy się z balkonu. Ludzie na ulicy biegną. Strzały są bliskie, coraz bliższe krzyki — słuchamy z rozpaczyliwym oczekiwaniem: po niemiecku — tak, nie ulega najmniejszej wątpliwości. Zobaczyć nie można. Tylko głosy i strzały. Strzały milkną, tylko krzyk. Przecież to niemożliwe, aby Niemcy ich już wystrzelali. Wychylam się z balkonu i widzę, widzę najwyraźniej grupę Niemców i kilku zaledwie chłopców w białoczerwonych opaskach. Moi koledzy stojący za mną milczą. Wreszcie Wojtek, po ułamku sekundy tego zbyt długiego milczenia, rzeczowym, spokojnym głosem mówi: "Będzie tu chyba egzekucja".

Krzyki na ulicy wzrastają. — Nigdy nie zauważyłam, że ten dom na rogu Kruczej jest tak nieznosnie duży. A może lepiej nie patrzeć.... Rozpoznajemy w chaosie głosów, ale nie wierzymy jeszcze, łamaną polszczyzną: "My nie Germańce, nie zabijajcie". Ludzie w niemieckich mundurach trzymają ręce do góry. Tak, to naprawdę.... Nie wiem, kto płacze tam w pokoju, nie widzę nic....

Na balkonach, w bramach, tłumy ludzi wrzuszonych, cichych, patrzą, pochłaniają wzrokiem sylwetki chłopców w białoczerwonych opaskach. Obok nas jakaś kobieta podnosi dziecko na rękach, aby zobaczyć, aby jakoś przeżyć ów moment wolności. Na balkonach nagle zjawiają się nie wiadomo

skąd flagi. Jeden z żołnierzy wbiega na jezdnię, podnosi głowę, radosnym wzrokiem odpowiada na najpiękniejsze uśmiechy Warszawianek: "Niemców nie ma. Wszyscy zdolni do pracy muszą stawiać barykady".

Zdolni do pracy? Ależ na ulicy znajdują się tłumy chcących pomagać w jakikolwiek sposób. Płyty chodników, jakieś sztaby żelazne, skrzynie metalowe. Kobiety wynoszą papierosy, jakieś zapasy żywności chowane w sanktuarium domowym i czekające na koniec wojny. Słychać strzały. Niemal ze wszystkich stron. Łączniczka nie przychodzi w ciągu nocy. O 11-ej nasz komendant deleguje Wojtkę i Stefana na Poznańską do punktu łączniczki, Krystynę i mnie na Boduena. Dostajemy legitymacje, wkładamy opaski. Ludzie cywilni na Kruczej dają nam papierosy, w każdej bramie witają nas czyjeś entuzjazmu pełne oczy. Opaska jest legitymacją otwierającą serca.

Barykady już stoją, sypane całą noc nieznanymi rękami. Kulki gwizdzą. Są ranni. Przebiegamy do rogu Brackiej i Alei. Zatrzymuje nas patrol. Na przejście trzeba czekać. Przez bramę widzimy czołgi niemieckie przesuujące się od mostu do Marszałkowskiej. W B.G.K. Niemcy. Czekamy do 5-ej. Pada deszcz. Wreszcie czołgi przechodzą. Radzą nam, by zdjąć opaski i przebiec z rękami do góry, Niemcy są jeszcze zdezorientowani. Przebiegamy bardzo szybko.

Po tamtej stronie jest inaczej. Widać zniszczenie, duży ostrzał od strony poczty głównej i Prudentialu. Nawijujemy łączność, dostajemy rozkazy, rozmawiamy z fotoreporterami, pytamy o auta megafonowe. Okazuje się, że zapomnieliśmy, iż mogą być barykady, więc auta stoją, a sprzęt megafonowy przerabia się do audycji z balkonów. Oglądamy dwa niemieckie zdobycie czołgi.

Koło 6-ej poddaje się poczta. Prudential w naszych rękach. Jakiś młody chłopak ochotnik drapie się na wieżyczkę, aby zawiesić flagę. Ostrzał z Mazowieckiej i Zielnej. Sylwetka wchodzącego zarysowuje się na wieżyczce wyraźnie. Słychać tylko strzały, wszyscy patrzą tam na górę. Flaga powoli rozwija się, załopotała na wietrze i w parę sekund przeszła pierwszy chrzest krwi. Sylwetka chłopca na górze jakby zatrzymuje się. Zdawało się, że patrzy na podziurawiony biało-czerwony płat. Boimy się odetchnąć głębiej. Chłopak z wieżyczki zaczyna powoli zstępować. Gdy zsunął się do ostatnich stopni, ktoś zaintonował hymn. Sylwetka schodzącego zniknęła jakby zbyt szybko.

Ludzie na dole śpiewali dalej hymn. W chwilę później dowiedzieli się, że ten, który zawiesił strzepek już w tej chwili podarty, a widoczny z daleka, padł z dziewięcioma ranami.

11 SIERPANIA

Życie sprzed dwóch tygodni wydaje się być historią. Zmiany, które następują, są błyskawiczne i jakby zastaje się je już dokonane.

Nieodwracalność faktów, które następują, czuło się już w tym tak odległym na pozór okresie przedpowstaniowym. Upojenie wolnością, wstrząs na widok tych flag biało-czerwonych, odsunęły wszelkie pytania, przewidywania, analizę.

Następne dni były nerwowym, fanatycznym doganianiem rzeczywistości. Na świadome procesy psychiczne brak czasu. Nie można też ujmować indywidualnych zmian. Rzeczywistość w tej skali koturnowości narzuca styl przeżycia. Bombardowanie, artyleria, walki, wędrówka ludzi z domów spalonych, wzrastająca liczba mogił na ulicach, bezsenne noce, widok ludzi pędzonych przez Niemców przed czołgami — stwarza, że zarówno ludność cywilna jak żołnierze przyjmują fakty z fatalizmem jakby. Kiedys będzie się analizować czynniki, które wybuch walki o Warszawę wywołały, będzie się zapewne ważyło celowość, w tej chwili niemożność dystansu, całkowite wejście w życie, które ogarnia się zawsze fragmentami, stwarza ową postawę zaciętości.

Wszystkie plany naszej grupy sprzed powstania okazały się niewykonalne. Przewidywania, dostosowujemy je do warunków. Megafony przenoszone przez patrole montuje się dla przelotnych audycji na balkonach. Nasze ekipy sprawozdawcze są zdecentralizowane i porozmieszczane w poszczególnych rejonach. Błyskawica działa. Są wiadomości z wszystkich dzielnic.

Na Powiślu załoga elektrowni robi wysiłki, aby nie przerwać działania maszyn. Nasz sprawozdawca z Woli przedostał się do nas przeszedłszy z meldunkiem przez zajęte przez Niemców ulice. Niemcy użyli pancernych pociągów. Straty olbrzymie. Ulice po ulicach palone po zdobyciu przez Niemców. Amunicji brak wszędzie. Placówki najbardziej zagrożone, kluczowe, mają naboje na pół godziny. "Moi chłopcy — powiedział mi dowódca poczty dworcowej — odpierali szturm 30 czołgów butelkami. Nawet granatów oszczędzamy. Straty wynoszą 70 procent każdej drużyny".

Na odprawach dostajemy trasę, rozkazy i prasę do rozniesienia i chodzimy cały dzień. Wieczorem piszemy, w nocy przedostajemy się tam, gdzie w dzień przejść jest zbyt trudno.

W małym domku na Placu Grzybowskim jest dowództwo tego ostatnio bez przerwy atakowanego odcinka. Przechodzimy przez podwórko i porzbijamy dom. Cywilni ludzie pytają o wiadomości. Czołgi walą bez przerwy w sąsiedni mur. Poprzebijane są przejścia z piwnicy do piwnicy. Przy samym placu spotykamy kolumnę niosącą rannych. Mężczyźni z sąsiednich domów przenoszą ich do szpitala na Słiską. Ofiarowuje się przeprowadzić nas do dowództwa 9-letni chłopczyk z lilijką na kieszeni harcerskiej bluzki. Ma wojskową opaskę: "Mam listy ze Starego Miasta — mówi — my prowadzimy pocztę". Polowa? "Ależ nie, prywatną. Od rodzin do żołnierzy. Nasza centrala jest na Złotej.

Przedostajemy się łatwo wszędzie, bo takich matych nawet Niemcy nie zaczepiają”.

Dowódca na Grzybowskiej odbiera telefony, wysyła łączniczki, podpisuje zapotrzebowanie na granaty, wysyła wzmocnienie na odcinek atakowany w tej chwili, dyktuje jednocześnie meldunek i odpowiada na nasze pytania.

Mały łącznik prowadzi nas na punkt obserwacyjny i czujki. W jednym pokoju jacyś ludzie jedzą obiad, hałas detonacji jest nieznośny, w sąsiednim zamurowanym oknie wartownik pełni służbę. W tym pokoju jest już najbardziej rzeczywista pierwsza linia. Przesuwają się czołgi. Widać Niemców. Jeden czołg stoi i wali w narozny dom, w którym jest druga placówka. Czasem pociski przenoszą i padają na podwórko. Pyłu jest pełno.

W szpitalu na Śliskiej ranni leżą na podłodze, na noszach i czekają na pomoc. Operuje się bez przerwy. Operacji brzusznych 40 dziennie. Dwóch chirurgów tylko. Brak siostr operacyjnych. Kończy się chlorek etylu. Nie ma krwiodawców. Transfuzje robi się tylko w wypadkach, kiedy są pełne szanse na ocalenie. Jeśli nie wiadomo, szkoda krwi. Zgonów 50 dziennie. Rannych jest tylu, że 2-4 godzin muszą czekać na opatrunek. Chirurg, który wychodzi na chwilę z sali operacyjnej i wita się z nami, chwycie się niemal na nogach. Oczy ma rozgorączkowane, przekrwione od bezsenności. “Czy wy rozumiecie, co to jest 10 dni i nocy przy stole operacyjnym?”

Obok nas umiera na podłodze jakiś człowiek. Posługacz wynoszą zwłoki. Czarno ubrana pani klęczy przy sąsiednich noszach nad młodzieńskim chłopcem rannym w głowę. Zwraca się do chirurga bardzo spokojnie: “Czy po operacji będę mogła zabrać go do domu?”

21 SIERPNI

Nie dawno było hasło któregoś z pierwszych dni: Warszawa-Wolność. I to miało swój dźwięk. Nie dawno przed odbiornikami radiowymi zbierały się tłumy ludzi i każde słowo z dalekiego Londynu wydawało się być otuchą. Mówiło się: pomoc, jak nadejdzie, jak przyjdzie.

Teraz już tych audycji słucha się ze skupioną głową. Nikt nie mówi: “jak się skończy powstanie”, tak jakby się przestało w ów koniec wierzyć.

Natłoczenie ludności jest straszne. Piwnice przepelnione. W nocy jasno od pożarów. Ogień miotaczy min. Dywersyjnie działający, szarpający nerwy dźwięk tej najbardziej męczącej broni konjarzy się ze strasznymi widokami ludzi płonących żywcem od min zapalających. Niewypałów nie zbiera się. Widać samoloty bombardujące głównie Stare Miasto. Ulice Śródmieścia są bez przerwy pod ostrzałem. Dziś bombardowanie zaczęło się o 6-ej rano.

Stracona podobno Muranowska. Odpreżenie przynosi zdobycie “Pasty” na Zielnej. Atak wspaniały przy pomocy saperów i kobiet-minerek. Wreszcie poddanie się tego gmachu, górującego nad całą dzielnicą i trzymającego wszystkie sąsiednie ulice pod nieustannym celnym ogniem. Widok jeńców zastraszonych, wychodzących bez odznak, przechodzących między tłumami zebranych ludzi, widok flagi na szczycie.

Noc względnie spokojna. Nie można długo myśleć o epizodach. Wiadomości ze Starego Miasta coraz gorsze. O Politechnikę walka, o każdą salę niemal. W czasie ataku na Ogród Saski spotykamy się ze sławnym plu-

tonem kresowym wileńsko-lwowskim. Tu z pozycji obserwujemy grupę cywilnych ludzi, którzy strzeżeni przez Niemców umacniają nieprzyjacielskie barykady. Trawa w Ogródzie Saskim jest wysoka. Niemcy usiłują podejść do świetnie umocnionych polskich placówek z miotaczami ognia. Dom, w którym jesteśmy, wysoki pięciopiętrowy gmach, jest najdalej wysuniętą naszą pozycją.

Jesteśmy świadkami swoistej wyprawy po amunicję. Kiedy atak niemiecki się skończył, w trawie ogrodu w pasie niedostępnym dla Niemców, będącym w zasięgu ognia karabinowego naszych oddziałów, zostały niezabrane przez wycyfujących się nieprzyjaciół trupy niemieckie z tak cenną bronią i amunicją.

Jeden z podchorążych z szeregowym ze swojej drużyny zorganizowali sobie zastępe ogniówą, rzucili granaty i pod osłoną dymu czołgają się z nożycami przez wysoką trawę. Przez moment nie widzimy ich. Niemcy otwierają ogień z karabinów maszynowych. Dostrzegamy, że obaj doczołgują się do tramwaju, obok którego leżą Niemcy. Podchorąży widać nie może dać sobie rady z odcieniem pasa. Wstaje. Ogień niemiecki wzrasta. Wydaje się niemożliwym, aby mogli wrócić. Nasza placówka wyrzuca granaty. Pył przesłania na moment widoczność. W chwilę później widzimy strzelca czołgającego się do naszej czujki i podchorążego parę metrów za nim, widocznie z trudem ciągnącego jakiś duży przedmiot. Wracają obaj. Podchorąży lekko draśnięty w rękę, z miotaczem ognia, dwoma pistoletami maszynowymi i amunicją.

Niemcy zaczynają wieczorny ogień z granatników. W pierwszych dniach ginęli głównie żołnierze. Teraz szpitale przepelnione są cywilną ludnością. Ranne dzieci. Pełno ludzi wyciągniętych spod gruzów, pół przytomnych, poparzonych. Są domy zbombardowane, nieodkopywane, gdzie zaduch wskazuje wyraźnie piwnice, w których zginęli, podusili się ludzie. Głód coraz większy. Zaczyna panować czerwonka, są wypadki tyfusu. Po zdobyciu “Pasty” miotacze min, artyleria, granatniki ostrzeliwiają całą dzielnicę, której przedtem broniła przed ogniem niemiecka wysepka. Przy zagęszczeniu ludzi, którzy stają w bramach, na podwórkach, rannych i ginących jest bardzo dużo. Cały dzień bombardowania.

29 SIERPNI

Sytuacja na Starym Mieście beznadziejna. Tadeusz i Zdzisław zginęli. Nawet ciała nie znaleziono. Nasza łączniczka, która przeszła przez kanały, siedząc u nas na kwaterze w czasie bombardowania, detonacji od pocisków ciężkich dział kolejowych, powiedziała tylko: “Nie wiecie jeszcze, co to jest ogień i zniszczenie. U nas nawet na szpitalu już nie ma domów. Tylko gruzy”.

Katedra św. Jana trzykrotnie przechodziła dziś z rąk do rąk. Nasz sprawodawca Bohun ranny na Ceglanej od wybuchu Goliata. Na Marszałkowską, Świętokrzyską, Jasną i Sienną od 6-ej rano wali ciężka artyleria. Wyją miotacze min. W jednym domu przy Marszałkowskiej zabitych 40 ludzi. Zwłoki ułożone na skwerku czekają na pogrzeb. Niewypały artyleryjskie mają długość półmetrową, wagę 1.600 kg.

Biegniemy z por. Rogalą i Zbyszkiem na Żelazną. Nigdy dotąd nie widziałam tylu rannych i zabitych. Cała droga jest chowaniem się od muru do muru i czasem, jeśli trafi się stojący jeszcze dom, do bramy. Są przekopy pod Żelazną. W momencie, kiedy znajdujemy się pod ziemią, czujemy ulgę. Samoloty pikują w odłali, dopadamy do przejścia przez ongiś szklanną halę poczty dworcowej, i ostrzał

karabinów maszynowych przyjmujemy z radością. Przyjemnie jest wiedzieć, z której strony grozi niebezpieczeństwo, widzieć pozycje, lokalizować źródła ognia.

Zabieramy meldunki, rozmawiamy z żołnierzami. Bliskość niemieckich placówek chroni domy najbliższe od bombardowań i artylerii. Ta pierwsza linia wydaje się oazą bezpieczeństwa.

Noc jest spokojna. Przechodzimy przez aleję. Palą się domy.

Rano zaczyna się od 6-ej ogień. Pali się Powiśle. Przynosimy lekarstwa na Śliską do szpitala. Ranni leżą w brudzie, w papierowych bandażach, na ziemi. Wypadki tęcza i zgorzeli gazowej.

U Bormaniana i Hartwiga ogień. Nasz atak na Srebrną udany. Chłopcy uradowani i podnieceni. Każda próba ofensywy naszej budzi optymizm. Wydaje się, że każdy dom odebrany Niemcom jest sukcesem i świadczą o upadku sił nieprzyjacielskich, o utrzymaniu inicjatywy w naszych rękach. Jak to dobrze, że ci chłopcy nie wychodzą ze swoich placówek, że brak ludzi każe trzymać wszystkich w pogotowiu. Nie zdają sobie sprawy ze zniszczeń w śródmieściu, z sytuacji z dnia na dzień cięższej, z tych wszystkich rzeczy, które dzieją się poza linią. Oddziały lotne przesuwane z miejsca na miejsce są w gorszych warunkach. Znają i beznadziejności tzw. tyłów i nie trzymając żadnej placówki walczą o coraz inny dom.

31 SIERPNI

Następuje próba dwustronnego ataku. Stare Miasto — Śródmieście. Z plutonu, który idzie z Żelaznej, wraca trzech ludzi. Krzyżowy ogień niemiecki. Straty bardzo duże. Przychodzą wiadomości o ataku na św. Łazarza, walki przy Alejach. Żołnierze ze Starówki przechodzą kanałami i są rozmieszczani na poszczególnych placówkach.

Cywilni ludzie przez dni ostatnie zgębieni, obojętni, zdobywają się znowu na odruch, który trudno ocenić. Oto na każdym przejściu czekają na żołnierzy Starego Miasta z papierosami, żywnością, dają wodę, którą nosić pod ogniem jest tak bardzo ciężko. Istniały obawy, że wiadomość o kapitulacji Starego Miasta wywoła ostateczne przynębienie. Znużenie i przygotowanie na wszystko, rezygnacja całkowita, jest tak duża, że reakcja jest tępa. Beznadziejności tych trzech dni nie można oddać.

Trzeciego ognia trwa bez przerwy od 7-5-ej. Czwartego kończy się światło. Elektrownia zbombardowana. Nikt nie myśli już kategoriami osobistymi. Do rzeczy już dawno nie przywiązuje się wagi. Zdarzają się czasem rabunki z palących się domów. Traktuje się to nie w kategorii etycznej, tylko ze zdziwieniem, bo i po co.

O Starym Mieście nie mówi się. Czekają się, do której dzielnicy zabiorą się teraz. Ale czeka się w otepieniu.

18 WRZEŚNIA

Powiśle stracone od 10 dni. Atak i wycofanie się następują nagle. Plac Napoleona i okolice są już tylko dymiącymi gruzami. Na Wareckiej, Świętokrzyskiej, Górskiego walka o każdy pokój, o każdą piwnicę. Ataki na Czerniaków.

Dwie kobiety, wysłane z naszego zespołu przed tygodniem, zginęły. Nie żyje Wojtek. Byliśmy u niego wczoraj w szpitalu. Był przytomny do końca. Wiedział, że umrze. “Moje wiersze są u moich rodziców — po-

wiedział — Może ktoś z Was przeżyje do jakiegoś końca. Jeśli wydacie jeszcze *Sztukę i Naród*, wspomnienie napiszcie o nas trzech razem, o Tadeuszu, Zdzisławie i o mnie. Przeczucia, że zginę, nie miałem — to śmieszne”.

Pogrzeb na skwerku. Jest słońce.

Maria przynosi pęk kwiatów, nie wiadomo skąd zdobytych, i te kwiaty wydały się głębiej poruszające, niż śmierć przyjaciela.... Ze gdzieś jest życie wolne od pyłu i huków, gdzieś może ktoś martwi się, że wiatr strącił flakon z lewkonią, i myśli, aby kwiaty nie zwiędły za wcześnie. Pierwszy raz przypominam sobie, że poza walką i śmiercią jest też życie. Że jest kilka kilometrów za Warszawą.

Niemcy zrzucają ulotki. Część cywilnych ludzi wyjdzie z miasta.

Z Czerniakowa przychodzą wiadomości o walkach bardzo ciężkich. Walki na Książęcej i Frascatti.

Siedzimy na Żelaznej i nagle słyszymy warkot samolotu. Wartownik wbiega z wiadomością, że widać bardzo wysoko spadochrony. Zaczyna grać artyleria niemiecka. Wybiegamy.

Cywilni ludzie powychodzili z piwnic, patrzy, denerwują się, zmęczone, wynędzniałe, zubożeni, twarzą się znowu bardziej ludzkie. Uśmiechy. Podniecenie.

Zbieranie zrużeków, szukanie, ściąganie z miejsc zagrożonych zajmuje cały dzień. Porusza się jakaś struna nadziei. Na kilka godzin.

Rano znowu bombardowanie. Walki na Mokotowie i Czerniakowie. Szpital na Śliskiej zbombardowany. Po Siennej odbywają się istne wspinaczki. Domy nie są zburzone, a po prostu leżą. Prudential wygląda jak szkielet.

W nocy palą się ogniska zrużkowe i są przerwy w ostrzale. Można chodzić wtedy wolno. Dziś o północy Niemcy po dwóch godzinach ciszy pociskami z granatników rozbili kolumnę transportową na Kruczej. Słyszeliśmy parę metrów za nimi. Detonacje i krzyki. Jedenastu zabitych. Parę godzin trwało, zanim ranni zostali pozbierani. Na kwaterze poczułam, że pieką mnie oczy. I to wydało się najdotkliwsze.

28 WRZEŚNIA

Mokotów padł. Czerniaków parę dni przedtem. Część żołnierzy przedostaje się do nas — ostatniej wysepki. Są między nimi tacy, którzy przeszli Wolę, Stare Miasto, Czerniaków, Mokotów i reprezentują we dwóch resztki plutonu.

Jest zawieszenie broni. Nikt nie myśli, że można przeżyć. To wydaje się między mogiłami i gruzami cyniczne. Wyjdzie cywilna ludność. Wojsko zostanie. Inaczej się nie przypuszcza. Inne rozwiązanie byłoby nielogiczne. Cisza jest męcząca. Może jutro zacznie się znowu strzelanina, będzie wtedy łatwiej. Godziny bezczynności są trudne.

Część ludzi cywilnych nie chce wyjść. Wolą zostać na gruzach. Jakże można myśleć nawet o normalnym życiu po tym wszystkim. W trzy dni później rozwieszona, rozkolportowana umowa kapitulacyjna. Wszystko się nagle jakoś łamie. I wtedy myśli, rozpacz, chęć zostania, przewyższa zmęczenie. Obojętne, co będzie dalej. Najważniejsze jest to, aby móc położyć się i spać.

Ostatnim wysiłkiem jest droga do Ożarowa.

HALINA LASKOWSKA

UWAGI

“POLISH PROPAGANDA”

W swej recenzji książki *The Dark Side of the Moon* redaktor naczelny tygodnika *New Statesman and Nation* Kingsley Martin wypowiedział — obok wielu rzeczy słusznych — także twierdzenie, którego ze względu na jego osobliwość niepodobna pominąć milczeniem.

“Zadna z grup narodowych — pisał — nie popełniła w ciągu wojny tylu kłamstw co wygnańcy polscy (*no national group has told more lies than the Polish exiles during the war*); słyszałem jednak z pierwszej ręki podobne relacje od ludzi (nie tylko Polaków), którzy, jak mniemam, nie kłamali, i nie myślę, by ktokolwiek, kto czyta tę książkę, odrzucił ją po prostu jako niezgodną z faktami (*unauthentic*).”

Wydaje nam się, że twierdzenie o “kłamstwach”, popełnionych jakoby przez Polaków za granicą w czasie wojny, jest nie tylko niesłuszne, ale że sprawa ma się wręcz odwrotnie. W miarę upływu czasu okazuje się, że to, co często niechętnie i lekceważąco nazywane było na Zachodzie “propagandą polską”, nie miało nic wspólnego z przesadą i fałszami propagandy typu hitlerowskiego czy komunistycznego i że bliższą konfrontacją z rzeczywistością całkowicie potwierdziła informacje wychodzące ze źródeł polskich.

Weźmy kilka przykładów. Po wrześniu 1939 głośno było wszędzie na Zachodzie od bardzo zryżliwych uwag na temat siły i wartości polskiego oporu zbrojnego przeciw najeźdźcom. Relacje polskie o niszczącej przewadze technicznej Niemiec i o ich nowych metodach walki przyjmowane były w francuskich kołach kierowniczych z dużym sceptycyzmem. Była to prawdopodobnie jedna z przyczyn, dlaczego zbrojenia Francji poczyniły tak małe postępy w ciągu zimy 1939-40. Już po inwazji niemieckiej na Belgię, Holandię i północną Francję w maju 1940 r., oficjalna propaganda pocieszała ludność, że przecież “Francja to nie Polska”. Błyskawiczny obrót wypadków, zakończony aktem kapitulacyjnym w Bordeaux w dn. 21 czerwca 1940 r., przyznał niestety słusność “propagandystom” polskim. Sprawdziło się także z nawiązką wszystko, co mówili oni o działalności “piątej kolumny” niemieckiej w krajach zachodnich, a co również puszczane było mimo uszu, póki ta “piąta kolumna” nie ujawniła się w najbardziej dramatycznych okolicznościach w całej swej okazałości.

Pamiętamy dalej, z jakim niedowierzaniem przyjmowano informacje i opowiadania polskie o okrucieństwach niemieckich, o masowych mordach, o obozach koncentracyjnych, komorach gazowych, torturach, deportacjach i pracy niewolniczej. Wiele osób uważało opowiadania te za “typową” przesadę polską, w najlepszym zaś razie przyzmyrując oko przyznawało im walor skutecznej broni w walce z nieprzyjacielem. Jeszcze w r. 1943 jeden z czołowych tygodników socjalistycznych w Londynie wyraził w artykule wstępnym pogląd, że relacje o *German atrocities* okazały się przy bliższym zbadaniu tak samo nieścisłe i przesadzone, jak to się stało po Pierwszej Wojnie Światowej (co jest zresztą niezgodne z prawdą). Zetknięcie się Anglików i Amerykanów z hitlerowskimi obozami koncentracyjnymi uświadomiło ich wreszcie, że relacje polskie stanowiły raczej jeszcze *understatements* w stosunku do ponurej rzeczywistości.

Czynnik polskie — z małymi wyjątkami — zachowywały w czasie wojny dużą, może nawet nadmierną, wstrzemięźliwość w informowaniu świata zachodniego o tym, co się działo w Polsce wschodniej po 17 września 1939 r. i o zsyłkach setek tysięcy ludności tych ziem w głąb Rosji na pracę niewolniczą, głód i śmierć z chorób i wyczerpania. Nie chcieliśmy czynić niczego, co by hamowało wysiłek wojenny aliantów, skierowany na pobicie Niemców; liczyliśmy na możliwość ułożenia się z Rosją, na zmianę jej polityki wobec narodu polskiego i unikaliśmy wszystkiego, co by urzeczywistnieniu tych dążeń stało na przeszkodzie. Niestety powściągliwość polska w tym zakresie nie doczekała się uznania, podobnie jak nie spotkała się z uznaniem pomoc, nicsiona ofiarnie — mimo wszystkiego, co zaszło — wojskom sowieckim przez oddziały Armii Krajowej w r. 1944 i nawet jeszcze na początku r. 1945.

Na Zachodzie wiadomości o zachowaniu się armii i władz sowieckich w stosunku do Polaków traktowane były z nieufnością i pomijane zupełnie niemal milczeniem przez publicystów, prasę i rozgłośnie radiowe. Społeczeństwa Zachodu nie były zupełnie poinformowane o tym, co się działo w Polsce w latach 1944 r. i 1945 r. W tych warunkach nie trudno było przedstawiać im decyzje z Teheranu i Jałty jako jedynie słuszne i rozsądne załatwienie “kłopotliwego” zagadnienia polskiego.

Polsce przypadła w udziale rola czulego barometru, wskazującego niebezpieczeństwa, jakie grożą naszej cywilizacji i pokojowi świata. Stwierdzenie to nie jest przejawem żadnego nowego mesjanizmu; zachodzi tu po prostu pewien fakt, wynikający zarówno z położenia geograficznego naszego kraju, jak i z pewnych niezaprzeczalnych wartości duchowych narodu polskiego.

Możemy się pocieszać, że nadejdzie czas, kiedy i te sprawy, które zamazywane są jeszcze celowo ze względów politycznej *expediency*, ukażą się w prawdziwym świetle. O ileż jednak lepiej potoczyłyby się koleje nie tylko Polski, ale także innych krajów europejskich, Rosji i całego świata, gdyby tej “polskiej propagandzie” dawano posłuch w porę, a nie po zaszłych już nieszczęściach i katastrofach.

GROŹBA WOJNY ATOMOWEJ

W ostatnim zeszycie czasopisma *Polemic* znany pisarz i filozof angielski Bertrand Russell zastanawia się nad tym, czy i w jaki sposób można zapobiec zagładzie, grożącej rodzajowi ludzkiemu w razie użycia w przyszłej wojnie broni atomowej na wielką skalę.

Gdyby następna wojna — stwierdza Russell — wybuchła w ciągu najbliższych dwu czy trzech lat, zakończyłaby się prawdopodobnie szybkim zwycięstwem Stanów Zjednoczonych, żadne bowiem inne państwo nie dysponowałoby wówczas jeszcze bombami atomowymi. Jeśli jednak wojny w najbliższej przyszłości nie będzie, to nie tylko Rosja, ale i różne inne państwa będą miały dosyć czasu na produkcję bomb; bomby te stopniowo stawać się będą i coraz tańsze i bardziej niszczytelne w działaniu. Poza bombami możliwe będzie rozpylanie na wielkich przestrzeniach

substancji radioaktywnych, które niszczyć będą wszelkie życie organiczne. "Wystarczy trochę niedbalstwa (*carelessness*) — stwierdza Russell — a życie na tej planecie może stać się niemożliwością".

Przyszła wojna rozpocznie się prawdopodobnie od niespodziewanego ataku à la Pearl Harbour; celem napastnika będzie zadanie tak silnego ciosu, by niemożliwą stała się jakkolwiek skuteczna kontrakcja. Jeśli obiektem ataku będzie Wielka Brytania to, zdaniem Russella, cel ten może być urzeczywistniony, gdyż wyspa brytyjska podatna jest bardzo na atak atomowy z powodu szczupłości swego obszaru i gęstości zaludnienia. W ciągu jednego lub dwu dni Londyn, Glasgow i inne większe skupiska ludzkie będą zgładzone z powierzchni ziemi, produkcja przemysłowa zostanie udaremniona, a blisko połowa wszystkich mieszkańców zginie. Pozbawiłoby to W. Brytanię możliwości prowadzenia wojny.

Russell nie jest zgoła odosobniony w tej ponurej wizji. Nawiedza ona także wielu innych pisarzy i publicystów angielskich i stanowi dziś jedną w ważnych *arrière-pensées* w kształtowaniu się poglądów brytyjskiej elity politycznej.

Zdaniem Russella położenie Stanów Zjednoczonych w razie ataku atomowego byłoby tylko trochę mniej katastrofalne. W ciągu pierwszych 24 godzin bomby atomowe, niesione w pociskach (*rockets*), zniszczyłyby doszczętnie Nowy Jork, Waszyngton, Chicago i inne wielkie ośrodki. Zginęłyby znaczna część ludności Stanów Zjednoczonych, w tym większość wykwalifikowanych robotników przemysłowych. Spośród tych mieszkańców, którzy by ocalaeli, część wołałaby o pokój za wszelką cenę, inni oświadczałiby, że woła raczej zginąć, niż skapitulować wobec tak nikczemnego uderzenia. Ci drudzy przeważiliby, gdyby udało się uchronić od zniszczenia własne zapasy bomb atomowych; nastąpiłby odwet i wzajemne tępienie się, trwające tak długo, aż dezorganizacja uniemożliwiłaby jednej ze stron dalsze fabrykowanie broni atomowej. Kto by to osiągnął byłby zwycięzcą, ale cena tego zwycięstwa byłaby straszliwa.

Jakież jest wyjście z tych nad wyraz groźnych alternatyw? Gdyby Ameryka była obecnie w nastroju "wojowniczym i imperialistycznym", mogłaby zmusić świat do rozbrojenia się i ustanowić światowy monopol amerykańskich sił zbrojnych. Wojna w niedalekiej przyszłości skończyłaby się zwycięstwem Stanów Zjednoczonych prawdopodobnie bez zniszczenia cywilizacji na półkuli zachodniej; zwycięstwo to oznaczałoby niewątpliwie utworzenie rządu światowego pod hegemonią Stanów. "Taki rezultat — oświadcza Russell — powitałbym z entuzjazmem".

Na taki obrót spraw jednak się nie zanosi, gdyż społeczeństwo amerykańskie jest temu przeciwnie, a w ciągu paru lat minie i sama sposobność. By zapobiec grożącej w dalszej przyszłości katastrofie powstać musi — zdaniem Russella — rząd międzynarodowy, w którego posiadaniu znalazłby się wszystkie istniejące bomby atomowe, zakłady bomby te wytwarzające, wszystkie złoża uranu i innych niebezpiecznych surowców, wreszcie całość sił powietrznych i morskich.

Russell ma oczywiście wątpliwości, czy na przystąpienie do tego rządu zgodziłaby się Rosja, i dlatego proponuje utworzenie najpierw sojuszu, obejmującego Amerykę Północną i Południową, Wspólnotę Brytyjską, Francję, Belgię, Holandię, Skandynawię i Hiszpanię (po załatwieniu się, jak specjalnie zaznacza, z gen. Franco). Partnerzy tego

sojuszu uczyniliby wszystkie wysiłki, by przyciągnąć do niego Rosję. W ten sposób rząd międzynarodowy powstałby w wyniku kolejnych etapów. Gdyby rządem tym miały się stać władze Organizacji Zjednoczonych Narodów, to statut tej organizacji musiałby najpierw przejść zasadnicze przeobrażenia.

Jak jednak praktycznie przeprowadzić wciągnięcie do tak pomyślanej organizacji światowej Związku Sowieckiego? Najważniejszą rzeczą, zdaniem Russella, jest tu stanowisko ściśle określone (*definiteness*) ze strony Zachodu. Rządy amerykański i brytyjski powinny stwierdzić, co uważają za żywotne dla siebie, w innych zaś sprawach winny dać Rosji wolną rękę. Jeśli Rosja nie zgodzi się od razu na przystąpienie do rządu światowego, należy wywrzeć na nią nacisk, nawet ryzykując wojnę, w tym bowiem wypadku — jak sądzi Russell — jest prawie pewne, że Moskwa ustąpi. Odmowa Sowietów na akces do rządu międzynarodowego oznaczałaby wojnę prędzej czy później — dlatego wskazane jest użycie takiego stopnia nacisku, jaki okaże się niezbędny.

Tyle Russella. Rozumowanie jego jest interesujące, wydaje się jednak zawierać pewną lukę. Jeśli przyjmuje się jako pewnik, że już za lat parę Sowiety będą posiadały własne bomby atomowe, to jakimiż skutecznymi środkami nacisku będą wówczas rozporządzały w stosunku do nich mocarstwa zachodnie ze Stanami Zjednoczonymi na czele? Groźby wojny, o jakiej Russell wspomina, nikt w Moskwie nie będzie brał na serio, skoro będzie wiadomo, że główną pobudką wywieranego nacisku jest właśnie chęć zabezpieczenia pokoju.

Z artykułu Russella wydaje się wynikać, że przewiduje on utrzymanie podziału świata na dwie wielkie strefy: anglosaską (czy po prostu "zachodnią") i sowiecką — nawet w razie powstania "rządu międzynarodowego". Poprzednio już Russell w artykule, jaki ukazał się na łamach dziennika *Manchester Guardian*, wyraźnie wymienił m. in. Polskę jako kraj, który trzeba będzie zostawić w strefie rosyjskiej, tj. w praktyce pod obcym panowaniem i uciskiem. Trudno doprawdy uwierzyć, by jeden z czołowych intelektualistów Zachodu godził się z myślą trwałego ujarzmienia z górą stu milionów ludzi, niczego bardziej nie spragnionych, jak życia naprawdę wolnego, zgodnego z własnym typem twórczości duchowej i form ustrojowych. Czyżby naprawdę proponowany przez Russella "rząd międzynarodowy" miał się stać rodzajem nowego Świętego Przymierza, odbierającego wszelką nadzieję wolności tyłu starym, zasłużonym dla cywilizacji narodom europejskim? Czy naprawdę wolność tych narodów nie jest sprawą jak najbardziej "żywną" dla całego świata?

ZJEDNOCZENIE POLSKIE W NIEMCZECH

Ostatnie pociągnięcia władz okupacyjnych w Niemczech, skierowane przeciwko organizacjom polskich wysiedleńców na niektórych terenach, zwracają uwagę opinii polskiej na sprawę organizacji Polaków w b. Rzeszy.

Organizacja ta powstała całkiem samorzutnie i, jak to się dziś chętnie mówi, "oddolnie". W chaosie pierwszych miesięcy po klęsce Niemiec uwolnieni cywilni Polacy we wszystkich trzech okupacjach zachodnich łączy się poczuli dla obrony najprostszycich spraw własnych w lokalne, obozowe czy miejskie komitety o różnych nazwach i rozmiarach zakresie rzeczowym i terytorialnym. Jesienią

roku ubiegłego na poszczególnych obszarach komitety te wyłożyły zrzeczenia o szerszym zasięgu. Z kolei na zjeździe w Bardowiku, gdzie obecni byli przedstawiciele z całego terenu okupacji brytyjskiej, powstał Komitet Porozumiewawczy Zrzeczeń i Obozów Polskich w strefie okupacyjnej brytyjskiej, a przy nim wkrótce potem i Stały Sekretariat do Spraw Polskich w Bramsche.

Strefa amerykańska zorganizowała się nieco później. O ile w strefie brytyjskiej najruchliwszym społecznie elementem byli b. jeńcy wojenni, znajdujący się tam w pokaźnej liczbie, o tyle w strefie amerykańskiej osią ruchu organizacyjnego są b. więźniowie obozów koncentracyjnych.

Strefa francuska walczyć musiała z największymi trudnościami politycznymi i związkami Polaków połączyły się tam najpóźniej. Jednakże już z końcem ub. r. nastąpiło połączenie organizacji polskich wszystkich trzech stref. Na zjeździe w Hauder powstało Zjednoczenie Polskie. Posiada ono prezydium i radę obejmującą wszystkie trzy okupacje. Prezesem na najbliższy rok wybrany został p. Jerzy Czarkowski, b. więzień polityczny obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu i Sachsenhausen, adwokat z Warszawy.

Zjednoczenie Polskie prowadzi wszechstronną działalność w niezwykle trudnych warunkach. Obejmuje ona opiekę zarówno moralną jak i materialną, pomoc organizacjom zawodowym, wychowawczym, wymianę informacji i usług między odległymi czasem i całkowicie odciętymi środowiskami polskimi. Autorytet jego w masach wysiedleńców polskich jest powszechny.

W tej chwili przed kierownictwem Zjednoczenia Polskiego staje zadanie najważniejsze, a mianowicie przygotowania rzesz wychodźstwa polskiego do podjęcia normalnej pracy zawodowej. Na razie chodzi o zatrudnienie Polaków na terenie samych Niemiec w porozumieniu z władzami okupacyjnymi. Na dłuższą jednak metę chodzić będzie o organizacyjny wysiłek zmierzający do umieszczenia wychodźstwa polskiego w tych krajach, które gwarantować będą najlepsze warunki z punktu widzenia polskich interesów ogólnonarodowych, jak również z punktu widzenia materialnego zabezpieczenia bytu poszczególnym jednostkom.

Rola Zjednoczenia Polskiego, zwłaszcza z chwilą wycofania wojsk polskich z Niemiec, stanie się niezmiernie ważna. Wierzymy, że kierownicy Zjednoczenia, którzy mają za sobą pierwszy etap pracy, bodajże najtrudniejszy, wywiążą się również z nowych zadań. Sądzimy ponadto, że wychodźstwo polskie w Niemczech powinno poprzez swoich rzeczywistych przedstawicieli otrzymać należyty głos w najważniejszych sprawach narodowych.

WKRÓTCE

ukaze się książka

WOJCIECHA

WASIUTYŃSKIEGO

pod tytułem:

TYSIĄC LAT

POLITYKI POLSKIEJ

Zamówienia można kierować do Administracji "Myśli Polskiej" — 24 Wellington Road, St. John's Wood, London, N.W.8.

KULTURA I ŻYCIE

Szekspir wśród drzew — Don Juan i Chopin — Muzyka dla wszystkich —
Malarstwo amerykańskie

PÓŹNO kończyło się przedstawienie sztuki Szekspira *Troilus and Cressida* w teatrze pod gołym niebem w Regent's Parku. Sztuczne światła na trawie mieszały się ze światłem księżycowym wśród drzew; obłoki faldziste opadały coraz niżej, jakby wielka kurtyna natury chciała zamknąć dzieło sztuki. Metafory szekspirowskie, bogate w elementy krajobrazowe, zdawały się komentować ciemniejącą pejzaż wieczoru: publiczność, zmęczona trochę dłuższymi monologami, czekała jednak cierpliwie do końca tej średniowiecznej wersji klasycznego tematu, ponieważ urok takiego typu teatru jest zaiste niezwykły.

Teatr w Regent's Parku należy polecić każdemu Polakowi, przyjeżdżającemu po raz pierwszy do kraju Szekspira, gdyż poza oryginalnym rodzajem sztuki zabaczy on przy okazji to, z czego Londyn słusznie może być dumny, to znaczy piękny park. Ale przede wszystkim zobaczy autentycznego Szekspira (Grecy w strojach elżbietańskich!) granego naturalnie (zasługa reżyserii Roberta Atkins'a) w atmosferze szczerego, nieprzesadnego kultu. Publiczność w tym teatrze jest szczególnie sympatyczna: przychodzi tu znawcy, z uwagą przysłuchujący się dobrze pamiętanemu tekstowi, oraz bardzo młodzi ludzie, najczęściej studenci, których żarliwość dodaje aktorom ognia.

Troilus and Cressida w interpretacji Szekspira nie odbiega daleko od tradycji średniowiecznej, opartej na motywach, które przekazał Dictys Cretensis, choć portret szekspirowskiej Kressydy różni się od Kressydy Chaucera (poemat Chaucera wiąże się z kolei z Boccaccia *Filistrato*.)

Płochosć Kressydy i wierność Troilusa, syna króla Priama, zostały rozwinięte na zbyt szerokim tle trojańskiego dramatu, wskutek czego tracą na sile psychologicznego wyrazu: sztuka jest w całości rozlana, przedeklamowana i gubi się w wątkach pobocznych, domagając się od reżysera śmiałych skrótów.

Wskutek tych aż nazbyt widocznych wad *Troilus* Szekspira należy — obok *Cymbelina* — do rzadko granych sztuk. Należy się więc wdzięczność Atkins'owi za to odważne wzniesienie. Drzewom, chmurom i księżycowi należy się wdzięczność za gorliwą a bezinteresowną współpracę.

Po *Troilusie* londyński "Open Air Theatre" wystawia *Sen Nocy Letniej*, grany już kilka razy w stolicy Imperium podczas lat wojennych.

* * *

Skoro mowa o teatrze, warto przypomnieć, że z okazji dziewięćdziesiątej rocznicy urodzin Bernarda Shaw'a, "The Arts Theatre Club" wystawił *Don Juana w piekle*, (samoistny fragment III aktu *Man and Superman*), rzecz bardziej pouczającą niż zabawną dla krytyków autora *Pygmaliona*. W dialektycznej sferze dialogu widać tu jak na dłoni wszystkie wady teatru Shaw'a, w którym dyskusja zabija często dramatyczność akcji (w *Don Juanie* akcja sparaliżowana jest dyskusją od samego początku). Jakże nieporównanie lepszy jest Ibsen, mistrz Shaw'a, który ani na chwilę nie zapomina o prawach dramatu. Idee Shaw'a, padające ze sceny po katastrofie drugiej wojny światowej, brzmią teraz dziwnie staroświecko na tle tragizmu naszych czasów: dziewięćdziesięcioletni dialektyk

dramatu przeżył już samego siebie, — jakże ironiczne są dobrodziejstwa długowieczności.

Niestety, nie można (choćaby się bardzo chciało) pochwalić wystawienia *Lata w Nohant* Iwaszkiewicza w "Lyric" na Hammersmith. Krytyka zgodnie oceniła sztukę jako nieporozumienie teatralne (wprawdzie większymi nieporozumieniami są niektóre sztuki na West Endzie). Nie sposób jednak nie przyznać krytykom racji. Gdyby Iwaszkiewicz usunął z *Lata w Nohant* tanie wabiki romansu biograficznego, problem przezeń przedstawiony stałby się żalonym banałem. Sztukę ratuje dobre zakończenie, ale jak słusznie zauważył ktoś na premierze, należało rzecz skrócić o trzy akty i zamienić w żywy obraz z grającym Chopinem po środku. Interpretacja aktorów położyła sztukę do reszty. Chopin zachowywał się niczym pretensjonalny komiwojażer, i tak się miał do geniuszu muzycznego jak holywoodzki film *Song to Remember* do prawdy historycznej.

Swoją drogą, nie mamy jakoś szczęścia do literatury naszej za granicą.

* * *

Tak zwane "Proms" (Promenade Concerts), zainicjowane i spopularyzowane przez zmarłego Sir Henry Wood'a, będą znów, jak co roku, ściągając tłumy publiczności do Albert Hallu. Pierwszy koncert odbędzie się 27 lipca, ostatni — 21 września. Jest to już pięćdziesiąty drugi z kolei sezon, a więc tradycja kulturalna o poważnym dorobku. Przeszło trzysta utworów muzycznych znajduje się w tegorocznym programie; klasycy: Bach, Beethoven, Mozart — obok romantyków modernistów i najmłodszych (m. in. Bartók i Szalowski). "Proms" są właściwie starannie opracowaną antologią arcydzieł muzyki orkiestralnej. Ich znaczenie kulturalne w popularyzacji muzyki wśród naprawdę szerokich rzesz publiczności jest wielkie.

W tym roku organizatorzy koncertów starali się nie traktować po macoszemu muzyki brytyjskiej, stąd sporo utworów Elgar'a, Vaughan Williams'a i Bax'a. Ale jednocześnie program zachowuje swój charakter międzynarodowy, co szczególnie zaznacza się w sprawiedliwym potraktowaniu muzyki współczesnej. "London Symphony Orchestra" wystąpi obok "B.B.C. Symphony Orchestra". Dyrygują: Basil Cameron, Sir Adrian Boult i Constant Lambert (associate conductor). Polaków zainteresuje wiadomość, że znany nasz pianista Witold Małcużyński bierze udział w Promenade Concerts: 6 i 10 sierpnia; Szalowski grany będzie 30 lipca, w dniu poświęconym Sibeliusowi.

Z niektórych dat należy wymienić 29 lipca (Czajkowski); 1 sierpnia (Bach, Schubert); 16 sierpnia (Beethoven); 22 sierpnia (Dworzak); 29 sierpnia (Mozart); 9 września (Brahms, Mendelsohn); 12 września (Bach); 15 września (Beethoven).

Sezonowe bilety cieszą się dużym powodzeniem u bywalców, dlatego należy się liczyć z trudnościami, jeśli kto chce usłyszeć większą ilość utworów za tania pieniądze. Znaczna ilość pojedynczych biletów (nienumerowanych) w cenie trzech szylingów umożliwia jednak częste odwiedzania Albert Hallu, nawet gdy się nie ma wielu pieniędzy na wydatki kulturalne.

* * *

O kulturze amerykańskiej mówi się ze zbyt dużym lekceważeniem. Amerykanie nato-

miast traktują może za serio swój udział w dorobku cywilizacyjnym świata, i obrażają się często, jeśli nawet usprawiedliwiony krytycyzm przywita ich dzieła sztuki.

Jedno trzeba przyznać Amerykanom, że tak w nauce jak i w naświetlaniu problemów kultury cechuje ich przejrzystość argumentacji, rzeczowość, nabożeństwo wobec przeszłości a ciekawość wobec współczesności. Te cechy amerykańskie nie powinny być lekceważone. Tak samo nie należy lekceważyć starannie zorganizowanej wystawy malarstwa amerykańskiego w *The Tate Gallery*, mimo że nie jest to wystawa, dająca widzowi natchnienie.

W kilku salach galerii pokazano rozwój malarstwa, stworzonego przez obywateli Stanów Zjednoczonych, od osiemnastego wieku do chwili obecnej. Europejczyka uderzy od razu zależność tej gałęzi twórczości amerykańskiej (w przeciwieństwie do dość oryginalnej twórczości literackiej) od kierunków i wzorów, przejętych od artystów starego ładu. Mieszka w tej dwuwiekowej refleksji kultury europejskiej tajemnica przeszczerpienia gatunków twórczości ludzkiej, prawo przenoszenia środowisk cywilizacyjnych. Oby tylko stary cytat nie stał się mottem naszej epoki: "Troja po to umarła, żeby Rzym zrodziła".

W osiemnastym wieku linia podziału między cywilizacją brytyjską i amerykańską jest ledwie zaznaczona, dziś podział ten stanowi jeden z najostrowszych problemów naszego czasu. Widać go zarówno w języku jak i w twórczości artystycznej: nawet malarstwo amerykańskie, stając się nieśmiało za panią matką — Europą, ostatnio zdobywa się na własne akcenty (Morris Graves, ur. 1910; Robert Gwathmey, ur. 1903; Robert Motherwell w obrazie z roku 1943 "Radość Życia").

Od historycznych narracji Johna Singleton'a Copley'a (1737-1815) poprzez mistycyzm Alberta Pinkham'a Rydera (1847-1917) i realizm dyskretnego obserwatora Thomasa Eakins'a (1844-1916), aż do śmiałych wizji Lyonela Feininger'a (ur. 1871), który niekiedy przypomina w pomysłach P. Klee — widać wysiłek i ambicje ducha amerykańskiego, pragnącego wyrazić siebie pośród krzyżujących się wpływów obcych.

Niewątpliwie, gdyby Polacy urządzili taką poglądową wystawę swego malarstwa, nasz wiek dziewiętnasty chlubnie zaprezentowałby się w zestawieniu z twórczością Stanów Zjednoczonych. Dla obserwatorów przemian kulturalnych wystawa w *The Tate Gallery* jest niewątpliwie bardzo cenna i pouczająca; nie ma w niej miejsca na podziw, jest za to sporo okazji do głębokiej refleksji.

* * *

Już po napisaniu obszernej noty o pięćdziesięcioleciu twórczości filmowej w poprzedniej kronice *Myśli Polskiej*, sprawozdawca udał się na otwarcie interesującej wystawy w Dorland Hall (Lower Regent Street), zorganizowanej przez *Daily Express*. Wystawa ta ("Pięćdziesiąt lat filmu") pokazuje wiele zabawnych ciekawostek technicznych.

Warto ją obejrzeć.

J.P.

20 lipca 1946 r.

PRZEGLĄD WYDAWNICTW

B. H. Liddell Hart: THE REVOLUTION IN WARFARE. London 1946. Faber and Faber. Stron 99. Cena 5s.

Nieduża książeczka Harta ma zaledwie rozmiary poważnego artykułu z przedwojennego miesięcznika we Francji. Tytuł jest więcej obliczony na sensację od treści, a jednak treść daje bardzo dużo do myślenia. Jest to typowy produkt politycznych poglądów, będących dziś w obiegu w Anglii. W książce znajdujemy po krótko zebrane rozważania, jakie raz po raz pojawiają się w prasie i wskazują na nurtujące w Anglii kierunki myślenia.

Nie ulega wątpliwości, że pod względem nauk ścisłych i ich zastosowania Anglicy nadal utrzymują swoje przodownictwo. Natomiast mniej celują w tym, co się nazywało na kontynencie humanizmem, czyli wspólnością historycznego dziedzictwa. Jeden albo drugi fakt, związany z historią europejską, służy polityce angielskiej w oderwaniu od badań historycznych. Do tego rzędu zaliczyć trzeba modę, jaka obecnie zapanowała na Kongres Wiedeński, z wysuwaniem na plan pierwszy postaci Talleyranda.

Nie ulega wątpliwości, że Kongres Wiedeński zapewnił Anglii prawie sto lat rozkwitu i bezpieczeństwa. Niemniej elementy polityczne i narodowe, jakie się na trwałość prac kongresu złożyły, dawno przestały istnieć, a zostało tylko pobożne życzenie pokoju, zawartego na podstawie kompromisu i równowagi sił. Wówczas Castlereagh, popierając Prusy, a opierając się na Austrii — zaszachował kosztem Polski przemożne zakusy cesarza Aleksandra I. Cesarstwo Austriackie już nie istnieje. Niemcy są przepołowione i jeszcze nie mogą odgrywać roli przeciwwagi w Europie. Stąd płyną żale autora do Pokoju Wersalskiego, którego surowość jakoby wpędziła Niemcy na drogę hitleryzmu i rewolucyjnych eksperymentów. Wini o propagandę i emocjonalne odruchy mas w krajach demokratycznych; chcąc przejednać Niemców głosi nawet, że w ostatniej wojnie na froncie zachodnim wojskowo zachowywali się poprawnie. Pomija przy tym milczeniem los Polski i miliony obcokrajowców wywiezionych na roboty do Rzeszy.

Drugą tendencją książki jest odnowiona forma pacyfizmu. Anglia, będąc zmuszona do tworzenia i opłacania koalicji wojennych, przeciwna jest ze względu na swoją politykę handlową wielkim zbrojeniom w czasie pokoju. Pacyfizm, jaki zapanował po pierwszej wojnie światowej, wyszedł jednak w końcu na niekorzyść Anglii. Dlatego zwalcza się teraz zasadę "narodów pod bronią" i wdycha do okesów historii, w których się nie rozgrywała *la guerre aux allures déchainées*, jak to nazwał Foch. Ale jak wrócić do kodeksu rycerstwa średniowiecznego, albo do ludzkości XVIII wieku?

Hart, przerażony zniszczeniem wojennym, posuwa się tak daleko, że wykazuje, iż broń lotnicza nie rozstrzyga wojny, a bombardowania jakim zostały poddane Niemcy nie dały absolutnych wyników. W 1940 r. zrzucono na Niemcy 5.000 ton, w 1941 r. 23.000, w 1942 r. 37.000; z udziałem Stanów Zjednoczonych cyfra ta wzrosła do 180.000 ton bomb. Ostateczny jednak cios spotkał Niemców na wschodzie, gdzie zmogły ich dwa inne czynniki: wielka ilość materiału ludzkiego, oraz przestrzeń pozwalająca na rozwinięcie manewrów strategicznych.

Hart dalej dowodzi, że użycie czołgów i zmotoryzowanych dywizji daje przewagę w wojnie "błyskawicznej", ale tylko w pewnych okolicznościach, które Niemcy wykorzystali w Polsce i we Francji, ale które zawiodły na froncie wschodnim.

Tak jak w pierwszej wojnie światowej czołg był zastosowany w ostatniej jej fazie, tak obecnie nastąpił podobny objaw z użyciem bomby latającej i raketowej. Jest to najnowsza i najbardziej niebezpieczna ewolucja broni artyleryjskiej, pierwszy raz skutecznie zastosowanej przy oblężeniu Konstantynopola w r. 1453. Morderczość tego wynalazku usuwa prawie na plan drugi, w mniemaniu autora, bombę atomową.

Jak zwykle z wynalazkiem każdej nowej broni mnożą się bardzo prędko i inne wynalazki i sposoby zapobiegania jej działaniu. Ponieważ nawet "błyskawiczna wojna" nie daje absolutnej gwarancji wygranej, Hart przewiduje w przyszłości wojny, posługujące się bronią polityczną, albo infiltracją pokojową; przykłady tego mnożą się w naszych oczach. Z punktu widzenia angielskiego interesuje go przede wszystkim zagadnienie obrony. Po za życzeniem ograniczenia okrucieństwa wojennego widzi on jedyny ratunek na to w doradczym ciele naukowym, ściśle związanym z dowództwem wojskowym. Ci uczeni tworzyliby specjalny sztab, śledzący postępy techniki i wykorzystujący wynalazki w celu samoobrony.

J. A. Z.

Victor Gollancz: OUR THREATENED VALUES. London, 1946. Victor Gollancz Ltd. Stron 157. Cena 5s.

Gollancz jest znanym wydawcą londyńskim a równocześnie autorem licznych broszur oraz krótkich książek o treści politycznej. Z przekonania jest socjalistą. W okresie przedwojennym zaznaczył się jako jeden z inicjatorów przeprowadzonego w r. 1935 na terenie Wielkiej Brytanii "głosowania na rzecz pokoju" (*Peace Ballot*). Podczas ubiegłej wojny i w ciągu ostatniego roku dał się poznać przez swe liczne wystąpienia, skierowane przeciw obciążaniu całego narodu niemieckiego odpowiedzialnością za wojnę i popełnione podczas niej okrucieństwa; znane są jego namiętne na ten temat polemiki z lordem Vansittartem. W r. ub. Gollancz z udziałem kilku osobistości ze świata politycznego i intelektualnego powołał do życia organizację *Save Europe Now* ("Ratuj Europę teraz"), mającą na celu niesienie pomocy głodującym narodom europejskim. W praktyce organizacja ta ześrodkowała niemal całość swych wysiłków na akcji pomocy dla Niemiec. Równoległe z tą działalnością Gollancz głosił w swych broszurach i licznych listach, publikowanych w prasie, konieczność łagodnego traktowania pobitych Niemiec, protestując raz po raz przeciw usuwaniu ludności niemieckiej z obszarów, przylączonych do Polski, oraz z Kraju Sudeckiego.

Jego nowa książka gasować musi wiele krytycznych refleksji natury politycznej, ale zawiera też niewątpliwie myśli słuszne i szlachetne, tam zwłaszcza, gdzie mówi o występującym coraz jaskrawiej zaniku humanitaryzmu, a nawet normalnych uczuć ludzkich w stosunkach między ludźmi i narodami. Interesujące są uwagi Gollancza na temat metod,

CZEKAMY CIEBIE

Od redakcji. Wiersz, który drukujemy poniżej, został napisany w czasie Powstania Warszawskiego przez autora, który pogrążył. Nie znamy jego nazwiska, zachował się tylko pseudonim. Wiersz pisany na gorąco, w ogniu walk ulicznych na Starym Mieście oddaje wiersz nastroje Powstańców Warszawskich i jako dokument chwili redakcja "Myśli" zamieszcza go w drugą rocznicę walk warszawskich.

*Czekamy ciebie, czerwona zarazo,
Byś wybawiła nas od czarnej śmierci,
Byś nam, kraj przedtem rozdarłszy na ćwierci,
Była zbawieniem, witanym z odrazą.*

*Czekamy ciebie, ty potęgo tłumy
Zbyleciałego pod twych rządów knutem,
Czekamy ciebie, byś nas zgłotła butem
Swego zalewu i hasel poszumu.*

*Czekamy ciebie, odwieczny nasz wrogu,
Mo dero krwawy tłumów naszych braci,
Czekamy ciebie — nie żeby cię spłacić,
Lecz chlebem witać na rodzinnym progu.*

*Żebyś ty wiedział, nienawistny zbawco,
Jakiej ci śmierci życzymy w podzięce
I jak bezsilnie zaciskamy ręce,
Pomocy prosząc, podstępny oprawco,*

*Żebyś ty wiedział, jak to strasznie boli,
Nas — dzieci wolnej, niepodległej, świętej,
Kruwacząc w kajdany łaski twej przekłętą,
Cuchnącej jarzmem wiekowej niedoli,*

*Żebyś ty wiedział, naszych dziadów kacie,
Sybirskich więzień ponura legendo,
Jak twoją dobroć kłąc tu wszyscy będą,
Wszyscy Słowianie, wszyscy twoi bracia.*

*Legła twa armia zwycięska, czerwona
U stóp lun jasných płonącej Warszawy,
I ścierwią duszę syć bólem krwawym
Garstka szaleńców, co na gruzach kona.*

*Czekamy ciebie — nie dla nas, żołnierzy,
Dla naszych — mamy ich tysiące,
I dzieci są tu, i matki karmiące,
I po piwnicach zaraza się szerzy.*

*Miesiąc już mija od powstania chwili,
Ludzisz nas czasem dział swoich łomotem,
Widząc, jak ciężko będzie znowu potem
Powiedzieć sobie, że z nas znów zakpili.*

*Czekamy ciebie — ty zwlekasz i zwlekasz,
Ty się nas boisz i my wiemy o tem,
Chcesz, byśmy wszyscy tu legli pokotem,
Naszej zagłady pod Warszawą czekasz.*

*Nic nam nie zrobisz, masz prawo wybierać.
Możesz nam pomóc, możesz nas wybawić,
Lub czekać dalej i śmierci zostawić.
Śmierć nie jest straszna — umiemy umierać.*

*Ale wiedz o tym, że z naszej mogiły
Nowa się Polska Zwycięska narodzi,
I po tej ziemi Ty nie bedziesz chodził,
Czerwony władco rozbestwionej siły.*

stosowanych przez Sowiety i partie komunistyczne w różnych krajach. Wyraźne stanowisko przeciwsowieckie, jakie Gollancz zajął obecnie, jest jednym z przejawów przemiany, zaznaczającej się w tym zakresie wśród lewicowych intelektualistów W. Brytanii.

Najślabza jest ostatnia część książki, stanowiąca znów namiętny a bardzo jednostronny apel na rzecz Niemiec. Gollancz, jak zwykle, pomija prawie zupełnie milczeniem kraje Europy Środkowo-Wschodniej, choć położenie tych krajów jest niewątpliwie w sumie o wiele gorsze niż los, jaki spotkał Niemców. Znajdujemy to także cytaty z relacji dziennikarskich, opisujących w drastycznej formie usuwanie ludności niemieckiej z obecnych ziem zachodnich Polski. Relacje zredagowane są często w taki sposób, że mogą uprzedzać czytelnika brytyjskiego przeciw Polsce i narodowi polskiemu w ogóle. Gollancz przedrukowuje je zupełnie bezkrytycznie; nie wspomina nawet nigdzie w czyich rękach znajduje się administracja odnośnych obszarów.

Na str. 95 pisze o granicach Polski i zaznaczając, że Rosja pragnęła polskich ziem wschodnich aż po linię Curzona, dodaje dość niespodziewanie, iż w tym wypadku miała słusność (*here there was a case in justice*). Twierdzenie to trudno doprawdy pogodzić z wszystkimi liberalnymi i humanitarnymi tezami autora. Wiadomo mu chyba dobrze, że ludność Polski wschodniej nie była nigdy zapytywana przez jakąkolwiek bezstronną instancję, czy pragnie należeć do Z.S.S.R. Istnieją jak najbardziej poważne dane, że duża większość tej ludności bez względu na narodowość ani tego nie pragnęła, ani też dalej nie pragnie. Skąd więc to uznanie z góry "słusności" pretensji sowieckich w tym zakresie?

Trudno doprawdy zrozumieć przyczyny tych uprzedzeń i pominięć. Czyżby zasady, głoszone w książce z takim ogniem i akcentami rzeczywistej szczerości, miały mieć zastosowanie tylko do niektórych krajów i narodów? (L.)

"POLEMIC" I "ADAM"

Dwa pisma ukazały się ostatnio w Londynie, które zasługują na szczególną uwagę czytelnika polskiego. Pierwsze z nich, zatytułowane *Polemic*, odświeżyło niewątpliwie atmosferę publicystyczną i literacką powojennej Anglii. Jest to magazyn poświęcony zagadnieniom filozofii, psychologii i estetyki, i choć pismo tego nie podkreśla, zajmuje ono zdecydowane stanowisko także w sprawach politycznych, przeciwstawiając się śmiało czerwonemu totalizmowi sowieckiemu, który fascynuje dotąd niektórych lewicowych intelektualistów angielskich. Redaktorem *Polemic* jest Humphrey Slater. Współpracownikami jego są m. in. tacy wybitni pisarze jak Bertrand Russell, Arthur Koestler, Stephen Spender i George Orwell, z których ostatni odgrywa dużą rolę w piśmie, krytykując odważnie i jasno stanowisko komunistów w sprawach nie tylko politycznych, lecz także kulturalnych (artykuł *The Prevention of Literature* w nr. 2). Na specjalną uwagę zasługuje szkic Orwell'a, poświęcony Jamesowi Burnham'owi, autorowi głośnego studium *The Managerial Revolution* (w nr. 3).

W ostatnim zeszycie *Polemic* (nr. 4, July-August) zwraca uwagę artykuł z zakresu lingwistyki: *The Language Crisis* (Arthura Waley'a) oraz szkic *Philosophy and Psycho-Analysis* (Johna Wisdom'a).

Pismo odznacza się bardzo staranną szatą graficzną, — rzadkość wśród tego typu periodyków angielskich.

Adam, dwujęzyczny magazyn literacki (angielsko-francuski) został wznowiony po wojnie przez Rumuna, Mirona Grindea (wydawnictwa rok czternasty). Pismo poświęca dużo miejsca problemom kulturalnym innych narodów i drukuje liczne przekłady. Z pisarzy obcych ogłosili swoje utwory Aragon i Hsiao Hung. T. S. Eliot zajmuje się zagadnieniem jedności cywilizacji europejskiej (przedruk odczytów radiowych wybitnego poety współczesnego).

Dział poezji w *Adamie* zawiera utwory zarówno angielskie jak i obce, dobrane z dużą starannością. Szata graficzna *Adama* niestety nie dorównuje *Polemic*. (P.)

TRIAL OF THE POLISH DIVERSIONISTS. A verbatim report of the trial heard before the Military Collegium of the Supreme Court of the U.S.S.R., June 18-21st, 1945. With 10 illustrations. London, 1946. Hutchinson & Co. Stron 240. Cena 18s.

Czytając w czerwcu r. ub. "zeznania" postawionych przed trybunał sowiecki przywódców polskiego ruchu podziemnego, domyślaliśmy się, w jaki sposób "zeznania" te zostały wymuszone. Różne procesy polityczne, jakie odbyły się w Moskwie poprzednio, dawały pod tym względem aż nadto materiału do rozważań. Domyśli nasze potwierdzone zresztą zostały przez oświadczenia adw. Zbigniewa Stypułkowskiego, złożone po jego przybyciu do Włoch i opublikowane w polskiej prasie emigracyjnej, oraz niektórych, niestety bardzo nielicznych, czasopismach brytyjskich, amerykańskich i włoskich.

Z osobliwym więc uczuciem bierze się do ręki opublikowane niedawno przez londyńską firmę Hutchinsona (tę samą, która w latach 1940 i 1942 wydała oba tomy polskiej Czarnej Księgi, opisującej postępowanie najeźdźców niemieckich w Polsce) sprawozdanie stenograficzne z moskiewskiego procesu "polskich dywersjonistów." Sprawozdanie to ogłoszone zostało najpierw w języku rosyjskim przez zakład wydawniczy Ludowego Komisariatu Sprawiedliwości Z.S.S.R. w Moskwie. Tekst angielski stanowi dosłowny przekład urzędowego tekstu sowieckiego.

Już sam tytuł książki wydrukowany na okładce, w którym użyte zostało słowo *Polish Diversionists*, wskazuje na bardzo jednostronny politycznie charakter publikacji. Na wewnętrznej stronie tytułowej nagłówek ten ulega dalszemu jeszcze rozszerzeniu w tym duchu, brzmi on mianowicie (w tłumaczeniu polskim): "Proces organizatorów, przywódców i członków polskich organizacji dywersyjnych na tyłach Armii Czerwonej na obszarze Polski, Litwy oraz zachodnich regionów Białorusi i Ukrainy". Książka nie zawiera ani żadnej przedmowy, ani komentarzy, stwierdzających, jak władze sowieckie potraktowały przeciwniecki ruch podziemny sprzymierzonego narodu polskiego, w jak niegodny sposób przywódcy tego ruchu wciągnięci zostali w zasadzkę pod pozorem rokowań, później zaś uwięzieni, wywiezieni do Moskwy i po odpowiednim "urobieniu" postawieni pod sąd i skazani.

Cała książka jest wyrazem jednostronnej propagandy, ciężko krzywdzącej naród polski zwłaszcza w obecnym jego tragicznym położeniu, gdyż wytwarzającej w umysłach czytelników zupełnie mylne pojęcie o polskim ruchu

podziemnym i o procesie moskiewskim. Przypuszczalnie mamy tu do czynienia z oficjalną publikacją sowiecką ogłoszoną za pośrednictwem wyżej wspomnianej firmy londyńskiej. Nie jest to jednak wyraźnie stwierdzone na karcie tytułowej książki. (L.)

Henryk Sienkiewicz. LEGIONY. Z przedmową Jana Bielatowicza. Rzym, 1946, Instytut Literacki. Stron 183.

Nakładem powstającego w Rzymie Instytutu Literackiego, jako pierwszy tom jego wydawnictwa, ukazały się właśnie "Legiony", najślabza czy jedna z najślabszych powieści Sienkiewicza. Sprawiedliwość nakazuje dodać, że zastawił on ją był w stanie fragmentarycznym, dokończywszy zaledwo część pierwszą, a ledwo zarysowawszy następną.

Mimo to wszystko dobrze się stało, że powieść tę przedrukowano. A dobrze się stało dla dwu powodów.

Po pierwsze akcja powieści odbywa się częściowo we Włoszech, na szlakach doskonale znanych żołnierzowi II Korpusu. Należała mu się ta pamiątka w chwili, gdy Włochy opuszcza. Ciągłości historycznej obu polskich kampanii, tej napoleońskiej i tej spod Monte Cassino i Ankony stało się w ten sposób zadość. Trudno o lepszą lekcję historii, historii polskiej od lat stu pięćdziesięciu, historii polskiej tułaczki żołnierskiej i historii politycznej polskiego *nil desperandum*.

Coprawda chochlik ironii sprawił, że wzgląd ten dotyczy tej właśnie części dzieła, która jest niedokończona i napewno mniej jeszcze wartościowa od reszty odgrywanej się w samej Polsce.

Tej to polskiej części książki dotyczy nasz wzgląd drugi.

Okazuje się oto, że nawet wtedy kiedy *dormitat Homerus*, nawet w chwili osłabnięcia geniuszu pisarskiego, Sienkiewicz czyta się doskonale. Mnóstwo rzeczy nie dostaje tej starczej powieści wielkiego pisarza. Cały szereg jego wad widać tu jak na dłoni: nie ma tam za grosz pogłębienia wątku ni psychologii, jest Sienkiewiczowska maniera, postaci kobiece, jak zawsze u niego, są nieprzekonywające. Ale jest śliczny miejscami język, są migawkowe opisy przyrody, ani Reymontowskie, ani Weyssenhoffowskie, ale właśnie Sienkiewiczowskie, są nieporównywane przykłady humoru, który, okazuje się, ostatni pisarza opuszcza. Jest zwłaszcza uderzający kunszt dialogu, jego nerw, skrót i cięcie. Czyta się ta powieść doskonale — choć wciąż zdajemy sobie sprawę, jak jest słaba i nikła.

Wypada żałować, że żołnierz polski, który znów trafił pod Kapiol, nie dostał do plecaka na pamiątkę i "Quo Vadis". Na pewno bardziej by mu to arcydzieło języka polskiego trafiło do serca, pamięci i historycznego myślenia, niż zapowiedziane na okładce tłumaczenie Leona Bluma "A l'échelle humaine"...

A może by czas jeszcze był pomyśleć o wydaniu "Quo Vadis"? Dla dziesiątków tysięcy polskich żołnierzy, znających Watykan i Colosseum, niezmiernie cenną pamiątką byłoby oglądanie wstecz na kartach *Quo Vadis* okolic Via Appia, katakumb i owego znanego sobie dobrze kościółka Quo Vadis Domine?

Niedobrze by się stało, gdyby po pobycie w Italii bohaterskiego II Korpusu nie został się ślad w postaci wydania pod jego znakiem — *Quo Vadis*.

NACIĄGANIE HISTORII

W nrze 21 "Tygodnika Warszawskiego" spotykamy następujące fachowe uwagi historyczne na temat broszury Ksawerego Pruszyńskiego "Margrabia Wielopolski", która ukazała się także na gruncie Londynu:

"Nie należałoby robić z polityki historii, a z historii polityki. A tak właśnie czyni p. Ksawery Pruszyński w książce "Margrabia Wielopolski". P. Pruszyński chce w nas wzbudzić sentyment do osoby żandarma Europy cara Mikołaja I, gdy sentymentu doń nie czuje Moskwa. Seria potknięć i błędów p. Pruszyńskiego jest tak wielka, że trzeba by całej książki, aby je omówić. Zatrzymajmy się na kilku.

"Gdzie p. Pruszyński dojrzał "rewolucyjny jakobinizm Kościuszki"? Gdzie czytał te masy monografii ("po kilkanaście — i więcej") o polskich postaciach historycznych? Dlaczego mu się nie podobały i to "w najwyższym stopniu"? Jacy to "narodowi prawicowcy" wyrosli w kulcie Wielopolskiego — skoro w pracach Balickiego spotykamy się z wręcz odmienną oceną zasad margrabiego, a w pracach Popławskiego z nader ostrożnym i pełnym rezerwy sformułowaniem? Czemu p. Pruszyński w fałszowaniu historii posuwa się aż tak daleko, dając do zrozumienia, że powinniśmy być wdzięczni Margrabiemu, który tyle dla wsi polskiej uczynił, gdy jest rzeczą wiadomą, iż Wielopolski był *nieugiętym przeciwnikiem uwłaszczenia włościan*, był rzecznikiem interesu ziemian wobec dalej idących dążeń rządowych?

"Tych czemu" i "dlaczego" jest dużo i nie znajdujemy na nie odpowiedzi w książce p. Pruszyńskiego, który swe wypracowanie uważa za wzorowe skoro z nonszalancją i brakiem wszelkiego poczucia taktu dla znakomitych historyków — pisze: "Ten szkic biograficzny powstał po pierwsze dlatego, że autorowi nie podobały się w najwyższym stopniu wszelkie dotychczasowe polskie monografie, zyciorysy, biografie, nie podobał mu się sposób, w jaki polscy pisarze traktują wielkie postacie historyczne (lub literackie) — wszelkich Kościuszków, Sobieskich, Mickiewiczów, Słowackich, Batorów i kogo tam jeszcze zaszczyca niebezpieczna uwaga polskich pisarzy".

"Zygmunta Krasińskiego — jeszcze jeden przykład nonszalancji — nazywa mrocznym, mętłym i nadętym lub wprost — długonosym hrabią Zygmuntem.

"— Cień Wielopolskiego — usprawiedliwia się p. Pruszyński z napisaniem swego elaboratu — wyłonił mi się z mroków polskiej przeszłości i z mroków współczesnej mi londyńskiej emigracji —".

"Z tego 'cienia' i mgły wyrosła niepoważna i tandetnie zrobiona broszura".

DO NASZYCH CZYTELNIKÓW

"Myśl Polska" nie korzysta z żadnych subwencji i opiera się wyłącznie na wpłatach czytelników.

Prosimy uprzejmie o regularne opłacanie prenumeraty.

LISTY DO REDAKCJI

(Odpowiedzialność za poglądy wyrażone w listach do Redakcji ponoszą wyłącznie ich autorzy).

KS. JÓZEF PRĄDZYŃSKI

Szanowny Panie Redaktorze,

Wpadł mi niedawno do ręki numer "Gazety Ludowej" z 30 czerwca br. Jest w nim artykuł dający szereg informacji na temat ostatnich lat działalności i śmierci śp. ks. infułata Józefa Prądyńskiego — postaci jednej z najwybitniejszych w Stronnictwie Narodowym i cenionej powszechnie nie tylko w Wielkopolsce, skąd pochodził i gdzie działalność rozwijał, ale i w całym kraju. Nieustrudzony bojownik o wolność działań w organizacjach narodowych w czasie Pierwszej Wojny Światowej. W ciągu dwudziestu lat niepodległości całą swą pracę i wysiłek poświęcił odbudowie Polski, czynny w szeregu dziedzin tej odbudowy: religijnej, społecznej, politycznej i kulturalnej. Jako kapłan był duchowym opiekunem młodzieży akademickiej; jako działacz społeczny patronował wielu organizacjom charytatywnym; jako polityk był jednym z organizatorów i wybitnych kierowników Obozu Narodowego, do którego od młodości należał; jako opiekun kultury wiele pracy wkładał w podniesienie i uprzyśpieszenie społeczeństwu słowa drukowanego, działając za pośrednictwem Drukarni św. Wojciecha i znanego chyba wszystkim "Przewodnika Katolickiego".

Sądzę, że Pana Redaktora i Czytelników "Myśli Polskiej" zainteresują szczegóły dotyczące zamknięcia końcowego okresu tej działalności, pozwalam więc sobie przytoczyć kilka urywków z wspomnianego artykułu, podającego treść rozmowy przeprowadzonej z p. Kirylem Sosnowskim, naczelnym redaktorem "Przeglądu Zachodniego" i bliskim współpracownikiem ks. Prądyńskiego w okresie okupacji niemieckiej. Mówił on m. in. co następuje:

"Z nazwiskiem... (ks. Prądyńskiego — przyp. Red.) związana jest historia Wielkopolski. Po klęsce wrześniowej ks. Prądyński nie opuścił Poznania mimo grozących mu niebezpieczeństw. Niemcy — jak się okazuje — doskonale wiedzieli, że jest on przywódcą tej ziemi. Pracę niepodległościową podejmuje ks. Prądyński już w ostatnich dniach września 1939 r. Powstającej samorzutnie akcji podziemnej stara się nadać formy pracy skoordynowanej, poważnej i ograniczyć ją do istotnych zadań. U podstaw leży troska o każde życie polskie. Powtarza często, że należy je sprzedawać jak najdrożej. Sam nie oszczędza siebie, licząc się z nieuchronnym i tragicznym dla siebie końcem swojej działalności. Jest to determinacja heroiczna.

"Na wiosnę 1940 r. ks. Prądyński otrzymuje od min. Kota (ówczesnego ministra dla spraw kraju) polecenie przedstawienia rządowi trzech kandydatów na stanowisko delegata rządu polskiego na ziemię zachodnią. W sprawie tej porozumiewa się ze stronnictwami i jednomyślnie z nimi ustala jedną jedyną kandydaturę Adolfa Bnińskiego.

"Bniński został niebawem zatwierdzony przez rząd. Od tej chwili ks. Prądyński nie ma już formalnie żadnych funkcji w dele-

gaturze rządu, mimo to jest istotnym motorem pracy, albo właściwiej powiedziawszy jej sumieniem. Wspólnie z Bnińskim opracowuje plan walki. Głównym zadaniem jest stałe informowanie rządu i zagranicy... Raporty idą przede wszystkim do rządu, do Prymasa Polski... Opracowany został szczegółowy raport dla Papieża, wyposażony w zdjęcia dokumentarne, wykonane przez Szare Szeregi (kopia tego raportu odnaleziona potem przez Gestapo jest przedmiotem szczególnego podziwu ze strony niemieckich rzeczoznawców). Drugim zadaniem delegatury jest akcja oświatowa, trzecim, na który ks. Prądyński szczególnie kładł nacisk, akcja charytatywna. Z pieniędzy przesyłanych przez rząd i Watykan nie korzysta ani ks. Prądyński, ani woj. Bniński. Wszystko zostaje przeznaczone na pomoc rodzinom więźniów oraz biednym".

Gdy w 1942 r. nastąpiły w Wielkopolsce masowe aresztowania, dziesiątkujące członków ruchu podziemnego w Poznaniu, ks. Prądyński, więziony wówczas w osławionym Forcie VII, zdołał stamtąd przekazać słów kilka, świadczących o jego niezłomnym duchu: "Po trzykroć ostrożnie, ale naprzód".

"Ks. Prądyński umarł męczeńsko w czerwcu 1942 r. w komorze gazowej Dachau. Naczelny Wódz generał Władysław Sikorski dekorował go po śmierci krzyżem Virtuti Militari, pięknie formułując przy tym rolę jego w życiu Wielkopolski... Tym krzyżem została tym samym odznaczona Wielkopolska".

Łączę wyrazy prawdziwego poważania

ZYGMUNT CELICHOWSKI
Londyn, 26 lipca 1946r.

OBŁĘŻENIE REDAKCJI "WALKI"

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z listem p. Kisielewskiego i artykułkiem o śmierci śp. Stanisława Piaseckiego i o likwidacji drukarni "Walki" przez Niemców, pragnę podać parę informacji, które Pana Redaktora i czytelników zainteresują.

Byłam naocznym świadkiem obłężenia i zdobycia "Walki". "Walka" mieściła się na kolonii Sadyba na Czerniakowie w willi przy Okrężnej 10. Mieszkałam w domu przy tejże ulicy pod nr. 14. — O tym, że w sąsiednim domu mieści się drukarnia pisma narodowego, nie wiedziałam, mimo, że przez mój dom przewijało się wielu działaczy narodowych, którzy często korzystali z mego mieszkania jako miejsca noclegu. — Domek Okrężna 10 uległ uszkodzeniu w działaniach wojennych z 1939 r. i przez pewien czas był niezamieszkały. Na wiosnę 1940 r. zauważyliśmy, że ktoś w nim zamieszkał. Zwróciło wówczas naszą uwagę, że w oknie tego domu stale przesiaduje młoda pani i wpatruje się godzinami w lusterko. Nie przypuszczaliśmy wówczas, że nie czyni tego dla podziwiania swej urody, lecz że poprzez to lusterko obserwuje co się dzieje na ulicy.

Najście Niemców na redakcję "Walki" miało miejsce 4 czy 5 grudnia 1940 r. Wra-

całam właśnie wieczorem z miasta i zobaczyłam, że na naszej ulicy stoi szereg niemieckich aut — limuzyn, z których pierwsze stało tuż prawie przy naszym domku. Na samym końcu stała "buda". Przeraziłam się i chciałam się cofnąć, ale wzgląd na dzieci, znajdujące się w domu, skłonił mnie do wejścia do mieszkania. Nikt mi w tym nie przeszkodził.

Obserwowaliśmy później przez okno zza firanki z piętka, co się dzieje? Widzieliśmy w zmroku na śniegu sylwetki Niemców w przylegającym do naszego ogródka posesji nr. 12 i 10. Niemcy dobijali się do drzwi — trwało to dość długo. Wkrótce potem zamiast stukania słychać było wybuchy granatów i strzelaninę karabinową. Wszystko razem trwało jakieś 3 godziny. Wyglądało na to, że ci co znajdowali się wewnątrz domku bronili się, być może na to, by mieć czas na zniszczenie dowodów i archiwów. Pod koniec oblężenia mój brat widział, że ktoś wybiegł z domku, przy czym rozległy się krzyki i strzały i mężczyzna w cywilnym ubraniu upadł, zdaje się zabity, na śnieg. Być może, że oblężeni próbowali zrobić wypad, by się przebić i uciec. O ile wiem wszyscy co byli w domku zostali ujęci lub zabici na miejscu. Sąsiedzi opowiadali mi, że młodą panią z domku Niemcy postrzelili już poza domkiem na torze kolejki wilanowskiej i zabrali do jednego z aut. Słyszałam później wersję, że p. Ryszard Szczęsny, współredaktor "Walki", w chwili najeścia Niemców nie był obecny w drukarni, lecz dowiedziawszy się o oblężeniu przybył na miejsce, by pomóc ratować oblężonych lub dzielić ich los; podobno wśród nich znajdowała się jego żona. I wiem, że on tam poległ. Słyszałam również pogłoskę, nie wiem czy prawdziwą, że przyczyną wykrycia drukarni było zauważenie nienormalnie dużego zużycia prądu elektrycznego.

Niemcy odjechali przed północą. Powrócili około 5-ej rano — nie pamiętam, czy tej samej nocy, czy następnej — by zrewidować domki okoliczne. Byli z rewizją i w moim mieszkaniu. Byłam pełna obaw, gdyż jeden z pokoi naszego mieszkania już od przeszło roku był zamknięty i zapieczętowany przez Gestapo, które przeprowadzało u mnie rewizję po pierwszej ucieczce mego męża z obozu jeńców w listopadzie 1939 r. i opieczętowało po zabranii jego papierów pokój, w którym się jego rzeczy znajdowały. Przypuszczam, że znalezienie zapieczętowanego pokoju byłoby zwróciło ich uwagę na mnie. Byliby zaczęli badać sprawę i ustaliliby, że mój mąż był działaczem i publicystą Stronnictwa Narodowego i byliby napewno wyciągnęli stąd wniosek o naszej łączności z podziemnym organem Stronnictwa Narodowego drukowanym o kilkanaście metrów od nas.

Na szczęście uszliśmy wielkiego niebezpieczeństwa, a może śmierci. Zapieczętowane drzwi były zasłonięte szafą i drzwiami tych nie zauważyli. Początkowo kazali się ubrać mojemu bratu i iść z nimi.

Szczegółowo wypytywali się nas, co wiemy o ludziach mieszkających w domku nr. 10 i co się tam działo. Zarówno jak kim my jesteśmy. Na wiadomość, że o domku nr. 10 nic nie wiemy, że mój mąż jest w niewoli niemieckiej, że mam czworo dzieci, że brat pracuje na nasze utrzymanie i nie zajmuje się polityką — dali naszemu zeznaniu wiarę i zrezygnowali z zabrania brata. Nie zaarrestowali również nikogo z naszych sąsiadów na piętrze. Natomiast zaarrestowali w całości mieszkańców domku bliźniaczego nr. 12,

przyległego do nr. 10, i zwolnili ich dopiero po długim okresie czasu. Zaarrestowali również parę starszków pp. Pomorskich mieszkających w domku naprzeciw po prawie niezabudowanej stronie ulicy. Oboje ponieśli śmierć w więzieniu.

Muszę natomiast stwierdzić, że nie jest prawdą, by Niemcy domek wtedy spalili. Domek był tylko silnie uszkodzony przez wybuchy granatów. Musiały być w nim uszkodzone wodociągi, gdyż ściany zewnętrzne były stale przesiąknięte wodą.

Nikt zresztą tam nie zaglądał, bali się tam zaglądać nawet złodzieje. Czas jednak zrobił swoje, po paru latach domek odnowiono i zamieszkał w nim nowi ludzie.

Niemcy spalili ten domek wraz z całą Sadybą w moich oczach dopiero dnia 3 listopada 1944 roku w miesiąc po stłumieniu powstania.

Łączę wyrazy poważania,

MARIA GIERTYCH

Londyn, dnia 10 lipca 1946.

WYJAŚNIENIE

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z listem p. J. Kisielewskiego w poprzednim numerze "Myśli" i przedrukowanymi fragmentami z "Tygodnika Warszawskiego" dotyczącymi okoliczności śmierci śp. Piaseckiego, pozwalam sobie zwrócić uwagę, że artykuł w "Tygodniku Warszawskim" jest poprostu powtórzeniem danych drugiej części mego wspomnienia o śp. Stanisławie Piaseckim pt. "Redaktor" zamieszczonego w dniu 6 marca w tygodniku "Defilada". Numer ten był w Londynie już w pierwszej połowie marca i w nim znaleźć można więcej szczegółów o okolicznościach śmierci wybitnego pisarza.

WOJCIECH WASIUTYŃSKI

Londyn, dnia 27 lipca 1946.

DO PRENUMERATORÓW

Wobec podwyższenia ceny "Myśli Polskiej" od czasu jej wznowienia zwracamy się do naszych czytelników, którzy wpłacili przedpłatę według dawnej wysokości, aby poczynszy od nr. 96 zechcieli dopłacić różnicę 1 s. za każdy numer.

Czytelnicy, którzy zalegają z opłatą prenumeraty co najmniej za trzy miesiące, narażają się na wstrzymanie wysyłki "Myśli" bez osobnego zawiadomienia.

Prenumeratorów naszych z Drugiego Korpusu W.P., którzy ostatnio przybyli do Wielkiej Brytanii, prosimy o podanie ich nowych adresów, by zapewnić im regularną wysyłkę pisma.

Następny numer "Myśli Polskiej" ukaże się z początkiem września r.b.

W Administracji "Myśli Polskiej" znajduje się jeszcze ograniczona liczba dawniejszych roczników naszego pisma. Nabywać można również poszczególne dawniej wydane numery.

ADMINISTRACJA

KSIAŻKI NADEŚLANE

W. Saski: RODZINA PASKÓW. Fragmenty powieści. Londyn, 1946. F. Mildner and Sons (Publishers), Herbal Hill, London, E.C.1. Stron 140, Cena 8s.

Adam Mickiewicz: KSIEGI NARODU POLSKIEGO I PIELGRZYMSTWA POLSKIEGO. Rzym, 1946. Nakładem Instytutu Literackiego. Stron 101.

Marek Święcicki: OSTATNI ROK WOJNY. Wrażenia korespondenta wojennego. Glasgow, 1946. Nakładem Książnicy Polskiej. Stron 139. Cena 7s. 6d.

Prof. D. L. Savory, Member of Parliament for the Queen's University of Belfast: POLAND. Four speeches delivered in the House of Commons between January, 1945 and February, 1946. Londyn, 1946. J. Rolls Book Company Ltd. Stron 36. Cena 1s.

Stanisław Stroński, Former Polish Minister of Information: IS THIS THE NEW EUROPE? Glasgow, 1946. Polish Library, 250, Hope Street, Glasgow. Stron 20.

FUTURE OF THE POLISH ARMY, NAVY AND AIR FORCE. Documents and Opinions. Wydane przez Polish Press Agency, 43, Charlotte Square, Edinburgh. Stron 16. Cena 6d.

Jakub Bożenek: ANGLIA I ANGLICY, Rzym 1946. Nakładem Oddziału Kultury i Prasy II Korpusu. Stron 47.

Ks. William Doyle, T.J.: POWOŁANIE. Londyn, 1946. F. Mildner & Sons (Publishers), Herbal Hill, London, E.C.1. Stron 43. Cena 2s. 6d.

Dr. Janusz Rakowski: WCZORAJ I DZIŚ REFORMY ROLNEJ W POLSCE. Nakładem "Pamiętnika Literackiego", Fryburg — Szwajcaria, 1946. Stron 23.

Treść Nr. 101 (Rok VI, Nr. 6) "Myśli Polskiej":

W WALCE ZE ZŁEM; KWESTIA NIEMIECKA — A. Tomicki; NOWA SOWIECKA PIĘCIOLATKA — Michał Stachnik; ZAGADNIENIE DEMOKRACJI — Zet; POLSKA A ŚRODKOWA EUROPA — Tadeusz Piszczkowski; PIEŚŃ O NASZYM OGRODZIE — W. Pelc; POWSTANIE WARSZAWSKIE — Halina Laskowska; UWAGI: "Polish Propaganda" — Groźba wojny atomowej — Zjednoczenie Polskie w Niemczech — KULTURA I ŻYCIE: Szekspir wśród drzew — Don Juan i Chopin — Muzyka dla wszystkich — Malarstwo amerykańskie — J.P.; CZEKAMY CIEBIE; PRZEGLĄD WYDAWNICTW; NACIĄGANIE HISTORII; LISTY DO REDAKCJI: Ks. Józef Prądzyński — Zygmunt Celichowski; Oblężenie redakcji "Walki" — Maria Giertych; Wyjaśnienie — Wojciech Wasiutyński; KSIĄŻKI NADEŚLANE.

"MYŚL POLSKA"

zalożona w 1941 r. w Londynie, ukazuje się raz w miesiącu.

Redakcja i Administracja:

24, Wellington Road, St. John's Wood, London, N.W.8. Tel. PRIMrose 4350

Prenumerata półroczna (6 numerów) 12s. lub 34.

Prenumerata roczna (12 numerów) — £1 4s. 0d. lub 38.